

# Noc wigilijna

Mikołaj Gogol



calibre 0.9.27

# NOC WIGILIJNA

Mikołaj Gogol

Minął ostatni dzień przed Bożym Narodzeniem. Nastąpiła jasna zimowa noc. Wyjrzały gwiazdy. Księżyc majestatycznie wypłynął na niebo — poświecić ludziom dobrej woli i całemu światu, iżby wszyscy mogli wesoło kolędować i sławić Chrystusa. Mróz brał mocniej niż z rana; ale za to było tak cicho, że skrzywienie zamrożonego śniegu pod butem słyszało się na pół wiorsty. Ani jedna jeszcze gromadka chłopców nie pokazała się pod oknami chat; tylko samotny księżyc zaglądał w nie ukradkiem, jakby wywołując strojące się dziewczęta, aby co rychlej wybiegły na skrzypiący śnieg. W tym momencie z komina pewnej chaty buchnęły kłęby dymu zaścielając chmurą niebo, a wraz z dymem okrakiem na miotle uniosła się wiedźma.

Gdyby w tym czasie trójką gminnych koni przejeżdżał asesor z Soroczyniec, w czapce z barankowym otokiem zrobionej na sposób ułański, w granatowym kozuchu podbitym czarnymi barankami, z przemyślnie splecionym batogiem, którym ma zwyczaj podpędzać swego woźnicę — to by ją na pewno zauważył, ponieważ asesor z Soroczyniec nigdy w świecie nie przeoczy żadnej wiedźmy. Wie na pamięć, ile u każdej baby świnia ma prosiąt, ile u kogo płótna leży w kufrze i co ze swej odzieży lub gospodarstwa porządny człowiek zastawi w niedzielę w szynku. Ale soroczyński asesor tędy nie przejeżdżał, zresztą, co go obchodzi cudze sprawy, ma własną gminę. A tymczasem wiedźma uniosła się tak wysoko, że tylko jak czarna plamka migąła w górze. Lecz gdziekolwiek ukazywała się plamka, tam gwiazdy jedna za drugą gasły na niebie. Wkrótce wiedźma uzbierała ich pełny rękaw. Jakieś trzy lub cztery jeszcze błyszcząły. Nagle z drugiej strony ukazała się druga plamka, rosła, pęczniała i oto już przestała być plamką. Krótkowidz, gdyby nawet zamiast okularów wdział na nos koła z komisarzowej bryczki, nie rozpoznałby, co to takiego. Z przodu całkiem Niemiec: wąziutka, stale ruchliwa i wszystko wężąca mordka, zakończona, jak u naszych świń, okrągłym piątkiem, nogi tak cienkie, że gdyby miał takie wójt z Jaresków, to załamałyby się pod nim w pierwszym kozaku. Ale za to z tyłu — istny komornik gubernialny w mundurze, albowiem za plecami zwisał mu ogon taki ostry i długi jak obecnie noszone poły munduru; i tylko chyba po koźlej brodzie pod mordką, po niewielkich różkach sterczących na głowie i po tym, że cały był nie bielszy od kominiarza, można się było domyślić, że to wcale nie Niemiec i nie gubernialny komornik, lecz po prostu diabeł, któremu pozostała jeszcze ostatnia noc do szwendania się po bożym świecie i kuszenia do grzechu porządnych ludzi. Bo już jutro, po pierwszym uderzeniu dzwonu na jutrznię, z podwiniętym ogonem umknie co tchu do swego legowiska. Tymczasem diabeł po cichutku podkładał się do księżycy i już wyciągał rękę, by go schwycić; nagle jednak cofnął ją, jakby się oparzył, posłał palec, wierzgnął nogą, zabiegł z drugiej strony, po czym znów odskoczył i cofnął rękę. Jednakże, pomimo niepowodzenia, chytry diabeł nie zaprzestał zbytków. Podbiegłszy, porwał obydwoma rękami księżyc, wykrzywając się i dmuchając przerzucał go z ręki do ręki, jak chłop, który wy dostał gołymi rękami płonący węgiel do fajki; aż wreszcie pośpiesznie schował go do kieszeni i jakby nigdy nic pobiegł dalej. W Dikańce nikt nie zauważył, że diabeł ukradł księżyc. Co prawda, pisarz gminny, wychodząc na czworakach z szynku, widział, jak ni stąd, ni zowąd księżyc zaczął tańcować po niebie, i zaprzysięgał się na Boga, zapewniając o tym całą wieś; ale włościanie kręcili głowami, a nawet go wyśmiewali. Co jednak było powodem, że diabeł zdecydował się na taki bezprawny

czyn? Ano właśnie ten powód: wiedział, że bogaty Kozak Czub został zaproszony przez diaka na kutię, gdzie będą: sołtys wraz z przybyłym z archijerejskiego chóru, w granatowym surducie, krewniakiem diaka, co to potrafi brać najniższe basowe nuty; Kozak Swerbyguz i jeszcze ten i ów. Prócz kutii podadzą warenuchę, wódkę na szafranie i mnóstwo wszelakiego jedzenia. A tymczasem córka Czuba, najpiękniejsza we wsi dziewczyna, pozostanie w domu, a do niej na pewno przyjdzie kowal, siłacz i chłop jak dąb, którego diabeł bardziej nie cierpiał niż kazań ojca Kondrata. W wolnym czasie kowal zajmował się malowaniem i słynął jako najlepszy malarz w całej okolicy. Sam setnik Ł...ko, wtedy jeszcze cieszący się zdrowiem, umyślnie wzywał go do Połtawy, aby mu pomalował płot koło domu. Wszystkie miski, z których dikańscy Kozacy siorbali barszcz, były pomalowane przez kowala. Kowal był człowiekiem nabożnym i często malował święte obrazy; teraz jeszcze można znaleźć w cerkwi w T... ewangelistę Łukasza jego pędzla. Wszakże tryumfem sztuki kowala był obraz namalowany na cerkiewnej ścianie, w prawym przedsionku, przedstawiający świętego Piotra w dniu Sądu Ostatecznego, gdy, z kluczami w ręku, wypędza z piekła złego ducha: przerażony diabeł miota się we wszystkie strony, czując swą zgubę, a zamknięci w piekle grzesznicy biją i wyganiają go batami, polanami i wszystkim, co im wpadła w ręce. W czasie gdy malarz pracował nad tym obrazem i malował go na ogromnej desce, diabeł ze wszystkich sił starał się mu przeszkodzić: to niepostrzeżenie trącał go w łokieć, wydmuchiwał z paleniska kuźni popiół i obsypywał nim obraz; pomimo to praca została ukończona, deska wniesiona do cerkwi i wprawiona w ścianę przedsionka. Od tego czasu diabeł poprzysiął kowalowi zemstą. Jedna tylko noc pozostała mu teraz do szwendania się po świecie; lecz nawet tej nocy szukał wszelkich sposobów, by wyrzucić na kowalu swoją złość. I właśnie dlatego postanowił ukraść księżyc wiedząc, że stary Czub jest leniwy i niemrawy, do diaka zaś od jego chałupy wcale nie było tak blisko; droga szła tyłami wsi, obok młynów, obok cmentarza, okrążała jar. W noc księżycową warenucha i wódka na szafranie mogłyby skusić Czuba; ale w taką ćmę bardzo wątpliwe, aby się komuś udało ściągnąć go z pieca i wywabić z chaty. A kowal, który od dawna nie był z nim w dobrej komitywie, pomimo swej siły za nie odważyłby się w czasie obecności jego przyjść do córki. W ten oto sposób, gdy tylko diabeł schował księżyc do kieszeni, na całym świecie zrobiło się nagle tak ciemno, że nie każdy znalazłby drogę do szynku, nie mówiąc już o drodze do diaka. Wiedźma, ujrawszy się nagle w ciemnościach, krzyknęła. Wtedy diabeł z galanterią pochwycił ją pod rękę i zaczął szeptać na ucho to samo, co zazwyczaj szepcze się płci niewieściej. Dziwnie się plecie na tym naszym świecie! Wszystko, co tylko na nim żyje, usiłuje małpować i naśladować jedno drugie. Dawniej, bywało, w Mirgorodzie tylko sędzia i horodniczy chadzali zimą w pokrytych sukniem kozuchach, wszyscy zaś drobni urzędnicy nosili kozuchy po prostu bez pokrycia. A teraz i asesor, i podkomorzy wykosztowali się na nowe szuby z reszetiłowskich jagnięcych skórek, z sukiennym pokryciem. Kancelista i pisarz gminny w zaprzyszłym roku wzięli granatowej kitajki po 60 kopiejek arszyn. Zakrystian zrobił sobie na lato nankinowe szarawary i kamelorową kamizelkę w paski. Słowem, wszyscy pną się do góry! Kiedyż wreszcie ludzie przestaną być próżni! Można pójść o zakład, że wielu by się zdziwiło widząc diabła idącego w ich ślady. Najbardziej zaś irytujące jest to, że zapewne uważa siebie za gładysza, a tymczasem cóż to za postać— pożał się Boże! Gęba, jak powiada Foma Grigorijewicz, obrzydlistwo nad obrzydlistwami, a jednak i on się umizga! Lecz na niebie i pod niebem tak się zrobiło ciemno, że wcale nie można było dojrzeć, co się dalej działo między nimi.

— Więc ty, kumie, jeszcze nie byłeś u diaka w nowej chacie? — mówił Kozak Czub, wychodząc z drzwi swej chałupy, do chuderlawego, wysokiego chłopca w krótkim kozuszkach i z obrośniętą brodą, świadczącą, że już dłużej chyba niż dwa tygodnie nie dotknął jej ułamek kosy, którym zazwyczaj z braku brzytwy chłopcy golą swe brody. — Będzie tam tęgie popijanie! — ciągnął Czub wyszczerzając

zęby w uśmiechu. — Żebyśmy się tylko nie późnili. — Czub poprawił przy tym swój pas, ściśle obejmujący kozuch, nacisnął mocniej czapę, ujął w rękę bat — postrach dokuczliwych psów; ale spojrzawszy w górę, zatrzymał się... — Ki diabeł! Patrzaj no, patrzaj, Panasie!

— Co? — powiedział kum i także uniósł głowę do góry.

— Jak to co? Księżycyca nie ma.

— A to ci heca! Rzeczywiście nie ma księżycyca.

— No właśnie, nie ma! — wyrzekł Czub z pewnym niezadowoleniem z powodu niewzruszonej obojętności kuma. — Ciebie to zapewne nic nie obchodzi.

— A cóż mam robić?

— Akurat musiał — ciągnął Czub ocierając rękawem wąsy — jakiś diabeł (bodaj, kundel, rankiem kieliszka wódki nie wypił) wmieszać się w tę sprawę!... Doprawdy, śmiechu warte... Umyślnie, siedząc w chacie, patrzyłem w okno: cudo — nie noc! Jasno, śnieg błyszczący od księżycyca. Widno było jak w dzień. Nie zdążyłem wyjść za drzwi, a tu masz, i choć oko wykol! — Czub długo jeszcze gderał i kłął, a jednocześnie rozmyślał, na co się tu zdecydować. Okropnie chciało mu się pomieć jęzorem u diaka, gdzie niewątpliwie siedział już sołtys i przyjezdny bas, i diegciarz Mikita, który co dwa tygodnie jeździł do Połtawy na targ, a potem opowiadał takie facecje, że wszyscy słuchacze aż się za brzuchy trzymali ze śmiechu. Widział już w myślach stojącą na stole warenuchę. Wszystko to, rzeczywiście, było bardzo nęcące, ale nocne ciemności przypominały mu o tym lenistwie, które jest tak miłe wszystkim Kozakom. Jak to byłoby dobrze wyciągnąć się teraz z podkulonymi nogami na leżance, palić spokojnie fajkę i słuchać poprzez rozkoszną drzemkę kolęd i pieśni rozbawionych chłopców i dziewcząt, tłoczących się gromadnie pod oknami. Nie ulega wątpliwości, że zdecydowałby się na to ostatecznie, gdyby był sam; ale teraz we dwójkę nie będzie tak nudno i straszno iść ciemną nocą, a przy tym nie chciało mu się zdradzać swego lenistwa czy też tchórzostwa. Przestał kłąć i zwrócił się znów do kuma.

— Więc nie ma, kumie, księżycyca?

— Nie ma.

— Dziwne rzeczy, doprawdy. Daj no tabaki! Masz, kumie, dobrą tabakę! Skąd ją masz?

— Diabła tam dobra! — odrzekł kum zamykając brzożową tabakierkę rżniętą we wzory. — Nawet stara kura nie kichnie!

— Pamiętam — mówił dalej Czub — nieboszczyk szynkarz Zuzula pewnego razu przywiózł mi tabaki z Nieżyna. To ci była tabaka! Dobrą tabaka! Więc jakże, kumie, będzie? Ciemno na dworze.

— Chyba zostaniemy w domu — mruknął kum ująwszy za zaworke u drzwi.

Gdyby kum tego nie powiedział, to Czub zapewne zdecydowałby się zostać; teraz jednak jakby go coś pchało, by zrobić na przekór. — Nie, kumie, chodźmy! Nie można, trzeba pójść! — Ledwo to wyrzekł, już był zły na siebie, że wyrzekł. Bardzo mu było niemiło wlec się w taką noc, wszakże pocieszał się tym, że umyślnie zrobił właśnie inaczej, niż mu radzono.

Kum nie wyraziwszy na swym obliczu najmniejszego niezadowolenia, jak człowiek, któremu absolutnie wszystko jedno, czy siedzieć w domu, czy wylązić z domu, rozejrzał się, podrapał biczyskiem po ramieniu i obaj kumowie ruszyli w drogę.

Teraz spójrzmy, co robi, pozostawszy sama, piękna córa. Oksana nie skończyła jeszcze siedemnastu lat, gdy prawie na całym świecie, i z tej, i z tamtej strony Dikańki, zaczęto mówić o jej nadzwyczajnej urodzie. Chłopcy zgodnie obwieścili, że ładniejszej dziewczyny nigdy jeszcze nie było i nie będzie we wsi. Oksana wiedziała i słyszała wszystko, co o niej mówili, i była kapryśna, jak przystoi piękności. Gdyby chodziła nie w samodzielnym wełniaku i zapasce, lecz w jakiejś katance, to zakasowałaby wszystkie dziewczęta. Chłopcy uganiłi się za nią gromadnie; ale

straciwszy cierpliwość zaczęli ją stopniowo opuszczać i zwracać się ku innym, nie tak rozbałamuconym. Jeden tylko kowal był uparty i nie zaprzestawał starań, pomimo że i z nim postępowała wcale nielepiej niż z innymi. Po wyjściu ojca długo jeszcze stroiła się i mizdrzył? przed niewielkim, oprawionym w ołowiane ramki lustrem: nie mogła się sobą nacieszyć. — Cóż to ludziom przyszło do głowy rozgłaszać, że niby piękna? — mówiła jakby z roztargnieniem, jedynie po to, aby o czymś ze sobą pogwarzyć. — Kłamią ludzie, wcale nie jestem piękna. — Ale odbita w lustrze świeża, żywa, dziecięco młodziutka twarzyczka z błyszczącymi czarnymi oczami i niewypowiedziane cudnym uśmiechem, przepalającym duszę, zadała temu kłam. — Czyżby moje czarne brwi i oczy — ciągnęła nie wypuszczając lustra krasnolica — były tak piękne, że nie mają równych na świecie? Cóż tu pięknego w tym zadartym nosku? albo w policzkach? albo w ustach? Czyżby były piękne moje czarne warkocze? Och! Można się ich nastraszyć wieczorem: są jak długie żmije, splotły się i otoczyły moją głowę. Teraz widzę, że wcale nie jestem piękna! — lecz odsuwając nieco od siebie lustro, natychmiast zaprzeczyła: — Nie, jestem piękna! Ach, jakże jestem piękna! Cudo! Jakąż radość sprawię temu, czyją żoną zostanę! Jakże będzie się mną zachwycał mój mąż! Zupełnie straci głowę. Zacałuje mnie na śmierć.

— Cudna dziewczyna! — wyszeptał kowal, który cichutko wszedł. — Nie brak jej chętności! Godzinę stoi zapatrzona w lustro i nie może się napatrzeć, w dodatku na głos się wychwala.

— Tak, chłopcy, czyż że mnie dla was para? Spójrzcie tylko na mnie — ciągnęła śliczna kokietka — jak płynnie stawiam kroki; koszulę mam wyhaftowaną czerwonym jedwabiem: A jakie wstążki na głowie! Przez całe życie nie zobaczycie bogatszej lamówki! Wszystko to kupił, mi ojciec po to, żeby się ze mną ożenił, najdorodniejszy chłopak na świecie! — Uśmiechnięta odwróciła się i w tym momencie zobaczyła kowala...

Krzyknęła i stanęła przed nim z surową miną.

Kowalowi aż ręce opadły.

Trudno opowiedzieć, co wyrażała smagła twarz cudnej dziewczyny: była w niej i surowość, i poprzez surowość jakby drwiny z jego zmieszania, a ledwo dostrzegalny rumieniec niezadowolenia delikatnie zabarwiał policzki; wszystko zaś tak się ze sobą zlało i tak nie do opisanego było piękne, że pocałować ją milion razy — oto wszystko, co można było wtedy zrobić najlepszego!

— Po coś tu przyszedł? — zaczęła mówić Oksana. — Czyżbyś chciał, żebym cię wygnała za drzwi łopata? Wszyscyście szczerwani w dobieraniu się do nas. Migiem zwęszycie, kiedy ojców nie ma w domu. O, znam ja was! Czy gotów mój kuferek?

— Będzie gotów, moje serdeńko, po świętach będzie gotów. Gdybyś wiedziała, ile się przy nim napracowałem: dwie noce nie wychodziłem z kuźni; ale za to nawet żadna popadianka nie będzie miała takiego kufereka! Dałem takie żelazo na okucie, jakiego nie dawałem na bryczkę setnika, gdy chodziłem na robotę do Połtawy. A jak będzie pomalowany! Choćbyś całą okolicę obeszła na swych bielutkich nóżkach, to byś takiego nie znalazła! Cały będzie w czerwone i niebieskie kwiaty. Będą płonąć jak żar. Nie gniewajże się na mnie! Pozwól bodaj porozmawiać, bodaj spojrzeć na siebie!

— Któż ci broni, mów i patrz! — i siadłszy na ławie, znów zerknęła w lustro i zaczęła poprawiać na głowie warkocze. Spojrzała na szyję, na nową koszulę wyhaftowaną jedwabiem i miłe uczucie zadowolenia z siebie odbiło się w uśmiechu warg, na świeżych policzkach, rozblęskło w oczach.

— Pozwól i mnie usiąść obok ciebie! — poprosił kowal.

— Siadaj — powiedziała Oksana zachowując w ustach i w oczach ten sam wyraz zadowolenia.

— Cudna, umiłowana Oksano, pozwól się pocałować! — rzekł ośmielony kowal i przycisnął ją do siebie, zamierzając ukraść całusa; lecz Oksana cofnęła policzek, który już znajdował się bliźsiuteńko ust kowala, i odepchnęła go.

— Jeszcze czego, jak miód, to i łyżkę mu daj! Wynoś się, masz ręce bardziej szorstkie od żelaza! Sam zresztą pachniesz dymem. Pewnieś mnie całą usmarował sadzą. — Uniosła lusterko i znów zaczęła się do niego wdzięczyć.

„Nie kocha mnie! — myślał kowal zwiesiwszy głowę. — Wciąż by się jeno bawiła; a ja stoję przed nią jak głupi i nie mogę od niej oczu oderwać. I wciąż bym stał przed nią, i przez całą wieczność nie odrywał oczu! Cudna dziewczyna! Co ja bym dał, żeby się dowiedzieć, co ma na sercu, kogo kocha. Ale nie, nikt jej nie obchodzi. Zachwyca się tylko sobą; męczy mnie, biedaka; ja zaś z tęsknoty za nią świata nie widzę; a tak ją kocham, jak żaden jeszcze człowiek na świecie nie kochał i nigdy nie pokocha”.

— Czy to prawda, że twoja matka jest czarownicą? — zapytała Oksana i roześmiała się; a kowal poczuł, że w jego wnętrzu też się coś roześmiało. Śmiech ten jakby jednocześnie odezwał się w sercu i we krwi, która żwawiej popłynęła w żyłach, ale przy tym zabolowało go w duszy, że nie ma prawa wycałować tak miło roześmianej twarzyczki.

— Co mnie obchodzi matka? Tyś mi matką i ojcem, i wszystkim, co mam najdroższego na świecie. Gdyby mnie przywołał car i powiedział: „Kowalu Wakulo, proś, o co chcesz najlepszego w moim państwie, a wszystko ci dam. Każę ci zrobić złotą kuźnię i będziesz kuł srebrnymi młotami. „Nie chcę” — powiedziałbym carowi — ani drogich kamieni, ani złotej kuźni, ani całego twojego państwa: daj mi lepiej moją Oksanę!”

— Takiś to! Ale mój ojciec też nie w ciemną bitę! Ani się obejrzyj, jak się ożeni z twoją matką! — powiedziała z figlarnym uśmiechem Oksana. — Jednak, dlaczego te dziewczęta nie przychodzą... Cóż by to mogło znaczyć? Dawno już pora kolędować. Nudno mi:

— Pan Bóg z nimi, moja śliczna!

— A jakże! Z nimi na pewno przyjdą chłopcy. To dopiero zacnie się zabawa! Wyobrażam sobie, ile naopowiadają śmiesznych historii!

— Tak ci z nimi wesoło?

— Przecie, że weselej niż z tobą. Ach, ktoś stuka; aa pewno dziewczęta z chłopcami.

„Na cóż mam czekać? — mówił sobie kowal. — Szydź ze mnie. Jestem jej akurat tyle potrzebny, co zardzewiała podkova. Ale skoro tak, to przynajmniej nikt inny ze mnie śmiać się nie będzie. Niech tylko zobaczą, kto jej się więcej ode mnie podoba; już ja go oduczę...”

Stukanie do drzwi i ostro rozlegający się na mrozie głos: „Otwórz!” przerwały jego rozmyślenia.

— Poczekaj, sam otworzę — powiedział kowal i wyszedł do sieni z zamiarem połamania żeber pierwszemu, kto się mu nawinie pod rękę.

Mróz zwiększył się i w górze tak się zrobiło chłodno, że diabeł skakał z kopytka na kopytko i chuchał sobie w garście chcąc bodaj trochę zagrzać marznące ręce. Nic w tym zresztą dziwnego, że zmarzł, skoro dzień w dzień wałęsał się po piekle, gdzie, jak wiadomo nie jest tak chłodno jak u nas zimą, i gdzie włożywszy kołpak i stanąwszy przed ogniskiem niby jakiś kuchmistrz, podsmażał grzeszników z taką samą przyjemnością, z jaką zazwyczaj gospodyni smaży kielbasę na Boże Narodzenie. Wiedźma także poczuła chłód, pomimo że była ciepło ubrana; uniósłszy więc w górę ręce wysunęła nogę i przyjąwszy taką pozycję jak człowiek mknący na łyżwach, nie poruszywszy ani jednym stawem, spłynęła po powietrzu, niby po stoku lodowej góry, wpost do komina. Diabeł w ten sam sposób ruszył za nią. Ponieważ jednak stworzenie to jest sprytniejsze od każdego franta w pończochach, więc nic dziwnego, że wpakował się przy samym wlocie do komina na kark swej kochanki i oboje znaleźli się w obszernym piecu między garnkami. Wiedźma po cichutku odsunęła blachę, aby spojrzeć, czy jej syn Wakula nie sprosił przypadkiem gości do chaty; lecz zobaczywszy, że nikogo nie ma, a jeno worki leżą pośrodku chaty, wylazła z pieca, zrzuciła ciepły kożuch,

obciągnęła odzienie i nikt by nie zgadł, że przed chwilą jeździła na miotle. Matka kowala Wakuły liczyła nie więcej niż czterdzieści lat. Nie była ani piękna, ani brzydka. Zresztą trudno być piękną w tym wieku. Potrafiła jednak tak oczarować najbardziej statecznych Kozaków (którzy, nawiasem mówiąc, nie cenili zbytnio urody), że chadzał do niej i sołtys, i diak Osip Nikiforowicz (oczywiście, jeśli nie było w domu żony), i Kozak Kornij Czub, i Kozak Kasjan Swerbyguz. I trzeba to rzec na jej pochwałę, że umiejętnie z nimi postępowała. Żadnemu z nich nie przychodziło nawet do głowy, że ma rywala. Czy to szedł pobożny chłop, czy szlachcic, jak nazywają siebie Kozacy, odziany w sukienny płaszcz z odrzuconym kapturem, w niedzielę do cerkwi lub, jeśli zła pogoda, do szynku, jakże tu nie wstąpić do Sołochy, nie zjeść tłustych pierogów ze śmietaną i nie pogadać w ciepłej chałupie z rozmowną i gościnną gospodynią? Szlachcic umyślnie w tym celu zbaczał znacznie z drogi, zanim dotarł do szynku, a zwało się to: wstąpić po drodze. Gdy zaś, bywało, Sołocha pójdzie w święto do cerkwi wdziawszy jaskrawy samodziałowy wełniak z zapaską z kitajki, a na wierzch niebieską spódnicę, na której z tyłu są naszyte złote lamówki, i stanie po prawej stronie chóru, to diak na pewno już chrząknie i rzuci okiem w tym kierunku; sołtys pogłodzi wąsy, założy osełdec za ucho i powie do stojącego obok sąsiada: — Ech, dobra baba! Czort-baba! — Sołocha kłaniała się każdemu i każdy myślał, że tylko jemu się kłania. Ale ten, kto chciałby się wtrącać w nie swoje sprawy, natychmiast by zauważył, że Sołocha najwięcej życzliwości okazywała Kozakowi Czubowi. Czub był wdowcem; osiem stert zboża zawsze stało przed jego chatą. Dwie pary krzepkich wołów wciąż wysuwały swe głowy z szopy na ulicę i ryczały, skoro zobaczyły idącą kumę-krowę lub wujka, grubego byka. Brodaty kozioł wlaził aż na dach i beczał stamtąd skrzeczącym głosem, jak horodniczy, drażniąc spacerujące po podwórku indyczki i odwracając się tyłem, gdy dojrzał swych wrogów, chłopców szydzących z jego brody. W kufrach Czuba niemało było płótna, żupanów i staroświeckich kontuszów ze złotymi galonami: jego nieboszczka żona lubiła się stroić. W ogrodzie prócz maku, kapusty i słoneczników rokrocznie zasiewano jeszcze dwie grędy tytoniu. Sołocha uważała, że nieźle byłoby przyłączyć to wszystko do swego gospodarstwa, zawczasu już myśląc o tym, jaki zapanuje w nim porządek, kiedy przejdzie ono w jej ręce, i podwajała swą uprzejmość dla starego Czuba. Żeby zaś w jakiś sposób syn jej Wakuła nie dobrał się do jego córki i nie zdążył wszystkiego zagarnąć dla siebie, a wtedy na pewno nie pozwoliłby jej do niczego się mieszać, uciekła się do pospolitego sposobu wszystkich czterdziestoletnich kumoszek: wywoływała jak najczęstsze zatargi między Czubem a kowalem. Być może, właśnie ta chytrość i zapobiegliwość były przyczyną, że tu i ówdzie staruchy zaczęły pogadywać, szczególnie, gdy sobie nieco podpily na wesołej pogwarce, że Sołocha jest rzeczywiście czarownicą; że parobek Kiziakołupienko widział u niej z tyłu ogon, nie większy od babskiego wrzeciona, że jeszcze w zaprzeszły czwartek jako czarny kot przebiegła przez drogę, że do popadli pewnego razu przybiegła świnia, zapiąła jak kogut, wdziąła na głowę czapkę ojca Kondrata i uciekła. Zdarzyło się też, że kiedy stare babiny rozprawiały o tym, nadszedł pewien pastuch od krów, Tymisz Kostropaty. Opowiedział przy tej okazji, jak latem, tuż przed świętem Piotra i Pawła, gdy położył się spać w oborze, podślawszy sobie słomy pod głowę, na własne oczy widział, że wiedźma z rozpuszczonym warkoczem, w samej koszuli, zaczęła doić krowy, on zaś nie mógł się nawet ruszyć, tak był zaczarowany, po czym posmarowała mu wargi czymś takim paskudnym, że później pluł przez cały dzień. Ale wszystko to było dość wątpliwe, gdyż tylko asesor z Soroczyniec może zobaczyć wiedźmę. I dlatego wszyscy co znakomitsi Kozacy machali rękami, gdy słyszeli takie gadania. — Breszą, sucze baby! — była ich zwykła odpowiedź.

Wylazłszy z pieca i poprawiwszy na sobie odzienie Sołocha, jako dobra gospodyni, zaczęła sprzątać i ustawiać wszystko na swoje miejsce; worków jednak nie ruszyła: Wakuła je przyniósł, niechże tedy sam wyniesie! Tymczasem diabeł, który, wlatując do komina, niechcący odwrócił się i

zobaczył Czuba pod rękę z kumem już daleko od chałupy, nagle wyleciał z powrotem z pieca, przeciął im drogę i począł rozdrapywać dokoła kupy zmarzłego śniegu. Zerwała się śnieżycą. W powietrzu zrobiło się biało. Śnieg zawirował, omotał jak gdyby wędrowców, grożąc zalepieniem oczu, ust i uszu. Diabeł zaś wleciał znowu przez komin, mocno przekonany, że Czub wraz z kumem zawróci, zastanie kowala i tak go przywita, że ten długo nie będzie w stanie wziąć do ręki pędzla, aby malować niecne karykatury.

Rzeczywiście, skoro tylko zaczęła się zadymka i wiatr począł dąć prosto w oczy, Czub pożałował swojej decyzji i nasunawszy głębiej na głowę czapkę z nausznikami, klął na czym świat stoi siebie, diabła i kuma. Zresztą złość była udana. Czub bardzo był rad z tej zadymki. Do diaka było jeszcze osiem razy tyle drogi, ile jej przeszli. Wędrowcy zawrócili. Wiatr dął z tyłu; ale poprzez zamieć nic nie było widać.

— Stój, kumie! Chyba w złą stronę idziemy — powiedział Czub przeszedłszy parę kroków — nie widzę żadnej chaty. Ależ zadymka! Skręć no, kumie, trochę w bak, czy nie znajdziesz drogi, ja zaś tymczasem tu poszukam. Że też nas licho skusiło włóczyć się w taką zawieruchę! A nie zapomnij wołać, jak znajdziesz drogę! Tfu! Jaką kupę śniegu diabeł nawiał w oczy! Drogi jednak nie było widać. Kum odszedłszy w bok brnął w swych wysokich butach w tył i naprzód, aż wreszcie dobrnął prosto do szynku. To odkrycie tak go ucieszyło, że zapomniał o wszystkim i otrząsnawszy z siebie śnieg wszedł do sieni, bynajmniej nie troszcząc się o pozostawionego na dworze kuma. Tymczasem Czubowi wydało się, że znalazł drogę, zatrzymawszy się zaczął krzyczeć na całe gardło, ale widząc, że kum się nie zjawia, postanowił pójść sam. Przeszedłszy kawałek drogi dojrzał swoją chatę. Zasypane śniegiem leżały obok niej i na dachu. Zaczął zabijać zmarznięte ręce, walić do drzwi i gniewnie nawoływać córkę, by mit otworzyła.

— Czego tu chcesz? — surowo huknął wychodząc kowal.

Czub: poznawszy głos kowala cofnął się trochę w tył. — E, nie, to nie moja chata — rzekł do siebie — do mojej chaty kowal nie przyjdzie. Ale przecie, jak się dobrze przyjrzeć, to i nie kowałowa. Czyjaż więc może być ta chata? Masz ci! Nie poznałem! Toć to kulawego Łewczenki, który niedawno ożenił się z młodą babą. Tylko on ma chatę podobną do mojej. To dlatego wydało mi się trochę dziwne, że tak prędko przyszedłem do domu. Lewczenko jednak siedzi teraz u diaka, o tym wiem; więc co tu robi kowal?... E, he, he! To on. chodzi do jego młodej żony. Ładna historia!... Teraz wszystko rozumiem.

— Coś za jeden i dlaczego włóczysz się pode drzwiami? — powiedział jeszcze surowiej kowal i podszedł bliżej.

„Nie powiem mu, kim jestem — pomyślał Czub. — Gotów jeszcze mnie wytluc, przekłety wyrodek!” I zmieniając głos odpowiedział:

— To ja, dobry człeku, przyszedłem was nieco zabawić, pokolędować pod oknami,

— Wynoś się do diabła ze swoimi kolędami! — gniewnie krzyknął Wakuła. — Czego tu stoisz? Słyszysz, wynoś się zaraz!

Czub sam już miał ten rozsądny zamiar; ale wydało mu się, że to uchybi jego godności, jeśli usłucha rozkazu kowala. Rzekłbyś, jakiś zły duch pchał go pod łokieć i zmuszał do zrobienia czegoś na przekór.

— A cóż ty sobie myślisz, żeby tak na mnie krzyczeć? — powiedział poprzednim głosem. — Chcę kolędować! i kwita!

— Ejże, to na ciebie już słów za mało? — i natychmiast Czub odczuł bolesny cios w ramię.

— Bierzesz się do bicia, jak widzę! — rzekł, nieco się cofając.

— Jazda, jazda! — krzyczał kowal nie szczedząc mu drugiego szturchańca.



— Takiś to! — powiedział Czub głosem, który wyrażał i ból, i złość, i lęk. — Widzę, że bijesz nie na żarty, ba, nawet boleśnie bijesz!

— Jazda, jazda! — krzyknął kowal i zatrzasnął drzwi.

— Widzisz go, jaki odważny! — mówił Czub zostawszy sam na ulicy. — A ino spróbuj, podejź! Widział to kto? Wielkie mi dziwo! Myślisz, że sądu na ciebie nie ma? Nie, mój gołąbku, pójdę, pójdę wprost do komisarza. Ty mnie popamiętasz! Nie będę zważał, żeś ty kowal i malarz... Warto by obejrzyć plecy i ramiona: myślę, że mam sińce jak się patrzy. Na pewno mocno potłukł, wraży syn! Szkoda, że zimno i nie chce' mi się zdejmować kożucha. Poczekaj, ty diabelski kowalu, bodaj ci diabeł skórę wygarbował i twoją kuźnię rozwalił, zatańcujesz ty mil Patrzcie go, przekłety szubienicznik... Hm... Ale przecie nie ma go teraz w domu. Sołocha zapewne sama siedzi. Eto... to przecie wcale niedaleko; warto pójść! Czas taki, że nikt nas nie przyłapie. Może i wedle tego się uda... Ależ mnie wymłócił przekłety kowal!

Po czym Czub potarł sobie plecy i ruszył w inną stronę. Zadowolenie na myśl o spotkaniu z Sołochą zmniejszyło trochę ból i nie dawało odczuwać mrozu, który trzaskał na wszystkich ulicach, nie zagłuszany wyciem wichury. Od czasu do czasu na twarzy Czuba, któremu brodę i wąsy śnieżyca namydliła śniegiem szybciej od niejednego cyrulika, brutalnie chwytającego swoją ofiarę za nos, ukazywał się słodki uśmiech. Gdyby jednak śnieg nie wirował tak w tył i naprzód przed oczami, to długo jeszcze można byłoby widzieć, jak Czub stawał, pocierał sobie plecy i powtarzał: — Mocno wytłukł, przekłety kowal! — po czym dalej ruszał w drogę.

Podczas gdy zwinny frant z ogonem i koźlą brodą wylatywał, a potem znowu wlatywał w komin, uwiązana u boku torba, do której schował ukradziony księżyc, jakoś niechcący zawadziła o piec, otworzyła się i księżyc korzystając z okazji wyfrunął przez komin chaty Sołochy, płynnie unosząc się ku niebu. Zrobiło się jasno. Zamieci jakby nigdy nie było. Śnieżne pole srebrzyło się i lśniło kryształowymi gwiazdami. Mróz jakby zelżał. Ukazały się gromady chłopców i dziewcząt z workami. Zabrzmiały pieśni; nieomal przy każdej chacie tłoczyli się kolednicy. Cudownie błyszczą księżyc! Trudno opowiedzieć, jak dobrze powalęsać się w taką noc w tłumie roześmianych i rozśpiewanych dziewcząt i chłopców, skorych do wszelkich figlów i conceptów, do jakich tylko może pobudzić wesoło roześmiana noc. W szczelnie zapiętym kożuchu ciepło; na mrozie jeszcze żywiej płoną policzki; a do zbytków sam bies z tyłu popycha. Gromady dziewcząt z workami wpadły do chaty Czuba, otoczyły Oksanę. Krzyki, śmiech, opowiadania ogłuszyły kowala. Wszystkie, jedna przez drugą, śpieszyły opowiedzieć pięknej dziewczynie coś nowego, wyładowywały worki i chwaliły się kołaczami, kielbasami, pierogami, których już sporo zdążyły nazbierać za swe kolędy. Oksana wydawała się zupełnie zadowolona i radosna, gawędziła to z jedną, to z drugą i śmiała się bez przerwy. Z goryczą i zazdrością patrzył kowal na taką wesołość i tym razem przeklinał kolędy, chociaż zazwyczaj sam za nimi przepadał.

— Odarko! — zawołała rozradowana krasawica zwróciwszy się do jednej z dziewcząt. — Masz nowe trzewiki. Ach, jakie śliczne! I ze złotem! Dobrze ci, Odarko, masz kogoś, kto ci wszystko kupuje; a ja nie mam nikogo, kto by mi dał takie piękne trzewiki!

— Nie martw się, moja najdroższa Oksano — podchwycił kowal. — Ja ci się wystaram o takie trzewiki, jakie rzadko która panienka nosi.

— Ty? — przelotnie i dumnie spojrzawszy na niego powiedziała Oksana. — Chciałabym wiedzieć, gdzie ty zdobędziesz takie trzewiki, które mogłabym włożyć na nogę? Chyba żebyś przyniósł te same, które nosi caryca.

— Patrzajcie no, czego się jej zachciewa! — krzyknęła ze śmiechem gromadka dziewcząt.

— Tak — mówiła dalej dumnie piękna dziewczyna. — Bądźcie wszystkie świadkami, że jeżeli

kowal Wakuła przyniesie mi te same trzewiki, które nosi caryca, to daję uroczyste słowo, że zaraz za niego wyjdę za mąż.

Dziewczęta uprowadziły ze sobą kapryśną piękność.

— Śmieję się, śmieję! — mówił kowal wychodząc za nimi. — Sam się śmieję ze siebie! Myślę i nie mogę pojąć, gdzie się podział mój rozum? Ona mnie nie kocha — no cóż, Bóg z nią! Niby na całym świecie tylko ona jedna, Oksana? Chwalić Boga i bez niej dość ładnych dziewcząt we wsi. Cóż Oksana? Z niej nigdy nie będzie dobra gospodyni, tylko stroić się umie. Nie, dość, pora przestać robić durnia z siebie. — Lecz w tej właśnie chwili, kiedy kowal już postanowił okazać się stanowczym, jakiś zły duch przesunął przed nim obraz roześmianej Oksany, mówiącej z drwiną: — Zdobądź, kowalu, trzewiki carycy, a wyjdą za ciebie! — Wszystko się w nim wzburzyło i myślał już tylko o Oksanie. Gromadki kołędujących, oddzielnie chłopcy, oddzielnie dziewczęta, śpieszyły z jednej ulicy w drugą. Ale kowal szedł i nic nie widział, nie brał udziału w tych zabawach, które kiedyś lubił tak bardzo.

Tymczasem diabeł nie na żarty rozamorował się u Sołochy: całował ją po rękach, strojąc takie miny jak asesor do popadianki, chwycił się za serce, wzdychał, wreszcie oświadczył wręcz, że jeśli Sołocha nie zgodzi się zadośćuczynić jego namiętności i, jak to zwykle bywa, nagrodzić go, to gotów jest na wszystko: skoczy do wody, a duszę wyprawi prosto do piekła. Sołocha nie była tak okrutna, a przy tym diabeł, jak wiadomo, był jej współnikiem. Tak bardzo lubiła tłum adoratorów i tak rzadko bywała bez kompanii, wszakże myślała, że ten wieczór spędzi samotnie, gdyż wszyscy znakomici mieszkańcy wsi byli zaproszeni na kutię do diaka. Ale wszystko złożyło się inaczej: zaledwie diabeł wyjawiał swe żądanie, gdy nagle dał się słyszeć głos krzepkiego sołtysa. Sołocha pobiegła otworzyć drzwi, chybki zaś diabeł wlaźł do jednego z leżących w izbie worków. Sołtys, otrząsnąwszy śnieg z czapy i przyjąwszy z rąk Sołochy czarkę wódki opowiedział, że nie poszedł do diaka, bo zerwała się śnieżyca; gdy zobaczył światło w jej chacie, wstał do niej z zamiarem spędzenia wspólnie wieczoru. Nie zdążył jeszcze sołtys tego wszystkiego powiedzieć, gdy rozległo się stukanie do drzwi i głos diaka.

— Schowaj mnie gdzie bądź — szeptał sołtys — nie chciałbym teraz spotkać się z diakiem. — Sołocha długo myślała, gdzie schować takiego zwalistego gościa; wreszcie wybrała największy worek z węglem; węgiel wysypała do beczki, a potężny sołtys wlaźł do worka — z wąsami, głową i czapą.

Diak wszedł pokaszując i zacierając ręce, po czym opowiedział, że nikt do niego nie przyszedł i jest serdecznie rad z okazji, że może chwileczkę u Sołochy zabawić, że nie odstraszyła go zadymka. Mówiąc to, podszedł bliżej, chrząknął, uśmiechnął się, dotknął długimi palcami jej obnażonej, pulchnej ręki i rzekł z miną, która zdradzała i figlarność, i zadowolenie z siebie:

— A co to takiego, najwspanialsza Sołochu? — To powiedziawszy, cokolwiek odskoczył w tył.

— Jak to, co? Ręka, Osipie Nikiforowiczu — odrzekła Sołocha.

— Hm! Ręka! He, he, he! — powiedział serdecznie ucieszony z takiego początku diak i przeszedł się po izbie.

— A co to takiego, najdroższa Sołochu? — zapytał z taką samą miną, ponownie się zbliżając i chwytając z lekka Sołochę za szyję, po czym, jak poprzednio, odskoczył w tył.

— Jakbyście nie wiedzieli, Osipie Nikiforowiczu! — odpowiedziała Sołocha. — Szyja, a na niej monisto.

— Hm! Na szyi monisto, he, he, he! — i diak znowu przeszedł się po izbie, zacierając ręce.

— A to co takiego, nieporównana Sołochu? — nie wiadomo czego by w takiej chwili dotknął diak swymi długimi palcami, gdyby nagle nie rozległo się stukanie do drzwi i głos Kozaka Czuba.

— Ach, mój Boże, ktoś postronny! — krzyknął przerażony diak. — Co to będzie, gdy zastaną tu osobę duchowną? Dojdzie do ojca Kondrata!... — Lecz obawy diaka miały inne źródła: najbardziej się lękał, aby nie dowiedziała się jego połowica, która i bez tego swą straszną ręką z jego grubego warkocza zrobiła coś wążutkiego jak sznureczek. — Na miły Bóg, zacna Sołochu — mówił drżąc na całym ciele — dobroć twoja, jak mówi ewangelista Łukasz w rozdziale trzyna... trzyn... Stukają, dalibóg, stukają! Och, schowajcież mnie gdziekolwiek!

Sołochu wysypała z drugiego worka węgiel do beczki i niezbyt korpulentny diak wlaź weni i usiadł na samym dnie, tak iż z góry można było wsypać jeszcze jakieś pół worka węgla.

— Witaj, Sołochu — powiedział Czub wchodząc do chaty. — Nie spodziewałaś się mnie, co? Prawda, że się nie spodziewałaś? A może przeszkodziłem.. — mówił dalej Czub robiąc wesołą i domyślną minę, która zawczasu dawała do zrozumienia, że jego ciężka głowa już pracuje i obmyśla jakiś złośliwy i podstępny żart. — Może zabawiałaś się tu z kim! A możeś kogo zdążyła już schować, co? — i zachwycony swoim konceptem Czub roześmiał się, tryumfując w głębi duszy, że tylko on jeden cieszy się względami Sołochy. — No, Sołochu, daj teraz wódki. Myślę, że od tego przekłętogo mrozu zamarzło mi w gardzieli. Ależ zesłał Pan Bóg taką noc przed Bożym Narodzeniem! Jak się zerwała, słyszysz, Sołochu, jak się zerwała... Ech, skostniały mi ręce: nie mogę rozpiąć kozucha! Jak się zerwała wichura...

— Otwórz! — rozległ się na ulicy głos, a tuż za nim huknięcie drzwi.

— Ktoś stuka — powiedział, nagle się zatrzymując, Czub.

— Otwórz! — jeszcze głośniejszym głosem zakrzyczano.

— To kowal! — rzekł Czub chwytając za czapę. — Słyszysz, Sołochu, schowaj mnie, gdzie chcesz; za nic na świecie nie chcę się pokazać temu przekłętemu wyrodkowi. A bodaj mu, diabelskiemu nasieniu, pod obydwojma oczami wyrosły pęcherze jak stogi! — Sołochu, sama przerażona, miotała się jak oczadziła i straciwszy głowę dała znak Czubowi, aby wlaź do tego samego worka, w którym już siedział diak. Biedny diak nie śmiał nawet kaszlem i stękaniem ujawnić bólu, gdy nieomal na głowie usiadł mu ciężki chłop i umieścił swe zmarznięte na mrozie buty przy obu skroniach.

Kowal wszedł nie mówiąc ani słowa, nie zdejmując czapki i prawie zwałił się na ławę. Widać było, że jest bardzo nie w humorze. W tej samej chwili, gdy Sołochu zamykała za nim drzwi, ktoś znowu zastukał. Był to Kozak Swerbyguz. Tego już nie podobna było schować do worka, bo nawet nie znalazłoby się takiego worka. Był potężniejszych kształtów niż sam sołtys i wyższy niż kum Czuba. Z tego powodu Sołochu wyprowadziła go do ogrodu, aby móc wysłuchać, co też miał do powiedzenia. Kowal w roztargnieniu rozglądał się po kątach swojej chaty, wsłuchując się od czasu do czasu w rozlegające się gdzieś daleko śpiewy kolędników, wreszcie zatrzymał spojrzenie na workach: „Po co tu leżą te worki? Dawno należało je sprzątnąć. Przez tę głupią miłość zupełnie straciłem głowę. Jutro święto, a w chacie do tej pory leży wszelkie rupiecie. Trzeba je zanieść do kuźni!” Przyklęknął przy ogromnych-worach, związał je mocniej i miał zamiar władować sobie na plecy. Widocznie jednak myśli jego były gdzieś bardzo daleko, gdyż inaczej usłyszałby, jak zasyczał Czub, gdy sznurek, którym zawiązany był worek, zagarnął również jego włosy, a krzepki sołtys dostał nagle czkawki.

— Czyżbym nie mógł wybić sobie z głowy tej niecnej Oksany? — mówił do siebie kowal. — Nie chcę o niej myśleć, lecz wciąż myślę, i jak na złość właśnie tylko o niej. Dlaczego tak jest, że wbrew woli jeno te myśli przychodzą mi do głowy? Ki diabeł, worki jakby stały się cięższe, niż były przedtem! Chyba włożono do nich coś jeszcze prócz węgla! Ależ dureń ze mnie! Zapomniałem, że teraz wszystko wydaje mi się cięższe.

Bywało, dawniej mogłem zgiąć i rozgiąć w jednym ręku miedzianego piąta i końską podkowę, teraz zaś nawet worków z węglem nie uniosę. Niebawem zacznę chwiać się na wietrze. O, nie — krzyknął po chwili z nową energią — cóż za baba ze mnie! Nikomu nie pozwolę sztydzić z siebie! Bodaj dziesięć takich worków podniosę. — I żwawo wwałił sobie na plecy worki, których dwóch mocnych chłopów nie ruszyłoby z miejsca. — Wezmę chyba i ten — mówił dalej, podnosząc maleńki, na dnie którego leżał zwinięty w kłębek diabeł — tu, zdaje się, schowałem swoje narzędzia. — Powiedziawszy to wyszedł z chaty gwizdząc piosenkę:

Meni z żinkoj nie wozit sia...

Coraz hałaśliwiej rozlegały się pieśni i krzyki na ulicach. Tłumy przepychających się tam i z powrotem ludzi zwiększyły się o przybyłych z sąsiednich wiosek. Chłopcy dokazywali i używali do woli. Wśród kolęd często można było słyszeć jakąś wesołą piosenkę, ułożoną doraźnie przez któregoś z młodych Kozaków. Albo znów któryś z tłumu zamiast kolędy huknął piosenkę kwestarską i darł się na całe gardło:

Szczedryk, wedryk! Dajcie warenky, Hrudoczku kaszky, Kilce kowbasky!

Śmiech nagrodził pomysłowego śpiewaka. Malutkie okienka uchylały się i sucha ręka staruszki, bo tylko staruszki i stateczni starcy pozostali w chałupach, wysuwała się z okienka z kielbasą lub kawałkiem pieroga. Chłopcy i dziewczęta na wypródki podstawiali worki i porywali zdobycz. W jednym miejscu chłopcy zachodząc ze wszystkich stron otoczyli gromadkę dziewcząt: hałas, krzyk, jeden rzucał śnieżną kulą, drugi wrywał worek z różnymi różnościami. W innym miejscu dziewczęta opadały chłopca, podstawiały mu nogę, aż ten razem z workiem na łeb na szyję padał na ziemię. Zdawało się, całą noc byli gotowi spędzić na zabawie. A noc jakby umyślnie tak cudownie się rozjaśniła! I od blasku śniegu jeszcze bielsze wydawało się światło księżycy.

Kowal zatrzymał się ze swoimi workami. Zdawało mu się, że w tłumie dziewcząt słyszy głos i perlisty śmiech Oksany. Krew zagrała mu w żyłach; rzuciwszy na ziemię worki z takim impetem, że znajdujący się na dnie diak stęknął od uderzenia, a sołtys czknął na całe gardło, ruszył z maleńkim workiem na plecach, wraz z tłumem chłopaków idących śladem gromady dziewcząt, wśród której usłyszał głos Oksany.

Tak: to ona! Stoi jak królowa i błyska czarnymi oczyma! Jakiś postawny chłopak coś jej opowiada; zapewne coś zabawnego, gdyż Oksana się śmieje. Ale ona zawsze się śmieje. Jakby niechcący, sam nie wiedząc jak, kowal przedarł się do niej przez tłum i stanął obok

— A, Wakuła, i tyś tu? Witaj — powiedziała piękna dziewczyna z tym samym uśmiechem, który nieomal doprowadzał Wakulę do szaleństwa. — Dużoś nakolędował? Et, taki maleńki woreczek! A trzewiki, co je nosi caryca, zdobyłeś? Zdobądź trzewiki, wyjdę za ciebie za mąż! — i chichocząc uciekła ze swoją gromadką.

Kowal stał jak wrośnięty w ziemię. — Nie, nie mogę, sił mi brak... — wyrzekł wreszcie. — O, mój Boże, dlaczego ona jest tak diabelnie piękna? Jej spojrzenie, słowa, wszystko wprost pali... Nie, nie mogę się już przemóc! Pora położyć temu kres: giń, moja duszo! Pójdę, utopię się w przerębli i raz będzie koniec! — Potem zdecydowanym krokiem ruszył naprzód, dopędził tłum, zrównał się z Oksaną i rzekł twardym głosem: — Żegnaj, Oksano! Szukaj sobie jakiego chcesz narzeczonego, bałamuć kogo chcesz, mnie już więcej w życiu nie zobaczysz. — Piękna Oksana wyglądała na zdziwioną, chciała coś powiedzieć, lecz kowal machnął tylko ręką i uciekł.

— Dokąd, Wakuło? — krzyczeli chłopcy widząc biegnącego kowala.

— Żegnajcie, bracia! — krzyczał w odpowiedzi kowal. — Jak Bóg pozwoli, zobaczymy się na tamtym świecie; na tym zaś już nie sądzono nam chadzać razem. Żegnajcie, nie wspominajcie złym słowem! Powiedzcie ojcu Kondratowi, żeby odprawił żałobne nabożeństwo za moją grzeszną duszę.

Nie zdążyłem wymalować świec przed ikony Cudotwórcy i Matki Boskiej przez te świeckie sprawy. Cały dobytek, jaki znajdziecie w mojej skrzyni, daję na cerkiew, żegnajcie! — Powiedziawszy to wszystko kowal pobiegł dalej z workiem na plecach.

— W głowie mu się pomieszała! — mówili chłopcy.

— Dusza potępiona! — nabożnie wyszeptała przechodząca obok starucha — pójde chyba opowiedzieć, że kowal się powiesił!

Tymczasem Wakuła minąwszy parę ulic zatrzymał się, aby nabrać tchu. „Po prawdzie, dokądże ja lecę? — pomyślał. — Przecie nie wszystko jeszcze przepadło. Spróbuję jeszcze jednego sposobu: pójde do Zaporozca, Brzuchatego Paciuka. Powiadają, że zna wszystkich diabłów i zrobi wszystko, co zechce. Pójde, i tak zaprzepaściłem już duszę!” Przy tych słowach diabeł, który długo leżał bez ruchu, z radości podskoczył w worku, ale kowal pomyślawszy, że to on sam zapewne zawadził ręką o worek i spowodował ten ruch, huknął po worku potężną pięścią i poprawiwszy go na barkach, poszedł do Brzuchatego Paciuka.

Ten Brzuchaty Paciuk rzeczywiście był kiedyś Zaporozcem, ale czy go stamtąd wygnano, czy sam uciekł z Zaporozia, tego nikt nie wiedział. Od dawna, może od . dziesięciu lat, a może od piętnastu, mieszkał w Dikańce. Z początku żył jak prawdziwy Zaporoziec: nic nie robił, przesypiał trzy czwarte dnia, jadł za sześciu kosiarzy i wypijał na raz prawie całe wiadro. Zresztą łatwo to mogło się zmieścić, gdyż Paciuk pomimo niewielkiego wzrostu był szeroki jak się patrzy. Przy tym szarawary, które nosił, były tak obszerne, że niezależnie od tego, jak wielkie robił kroki, nóg wcale nie było widać. i zdawało się, że to kadz gorzelniana sunie ulicą. Być może, to właśnie było powodem jego przyzwiska — Brzuchaty. Aleć nie minęło nawet parę dni od jego przybycia do wsi, gdy wszyscy już wiedzieli, że jest znachorem. Gdy ktoś zachorował, zaraz przywoływano Paciuka; starczyło, by Paciuk wyszeptał parę słów, a niemoc jakby ręką odjął. Gdy zgłodniały szlachcic udławił się rybią ością, Paciuk umiał tak zręcznie uderzyć go pięścią w plecy, że ość kierowała się gdzie należy, nie robiąc żadnej krzywdy szlacheckiemu gardłu. W ostatnich czasach coraz rzadziej go widywano. Może to było lenistwo, a może i to, że z każdym rokiem coraz trudniej mu było przejść przez drzwi. Wobec tego ludzie musieli sami go odwiedzać, jeśli mieli do niego interes.

Kowal nie bez lęku otworzył drzwi i zobaczył Paciuka siedzącego po turecku na podłodze przed niewielką beczką; na której stała misa z hałuszkami. Miska jakby naumyślnie stała na poziomie jego ust. Nie poruszając ani jednym palcem, Paciuk pochylił z lekka głowę nad miską i siorbał polewkę, od czasu do czasu chwytając zębami hałuszkę. „Nie, ten — pomyślał Wakuła — jest jeszcze leniwszy od Czuba: Czub przynajmniej je łyżką, ten zaś nawet ręki nie chce podnieść!” Niewątpliwie Paciuk bardzo był pochłonięty hałuszkami, gdyż, jak się zdawało, zupełnie nie zauważył wejścia kowala, który zaledwie przestąpił próg, złożył mu niski ukłon.

— Przyszedłem do waszej miłości, Paciuk! — powiedział Wakuła, znów się kłaniając. Gruby Paciuk na chwilę uniósł głowę i znowu zaczął ćpać hałuszki.

— Powiadają, bez obrazy... — zaczął nabrawszy odwagi kowal — nie po to mówię, aby cię nie uszanować, ale ponoć jesteś nieco spokrewniony z diabłem? — Powiedziawszy to Wakuła zląkł się, że wyraził się zbyt po prostu i za mało złagodził szorstkie słowa, w przewidywaniu więc, że Paciuk porwie za beczkę i razem z miską ciśnie mu ją w łeb, uchylił się trochę i zasłonił rękawem, aby gorąca polewka nie obryzgała mu twarzy.

Ale Paciuk tylko spojrział i dalej ćpał hałuszki.

Pokrzepiony na duchu, kowal zdecydował się na dalszą przemowę: — Przyszedłem do ciebie. Paciuk. daj ci Boże wszelkiego dobra i dostatku, i chleba w proporcji! — Kowal czasami potrafił wstawić wyszukane słowo; przyswoił to sobie ocierając się wśród ludzi jeszcze w Połtawie, kiedy

malował dla setnika drewniany płot. — Zginąć mi przyszło, grzesznikowi! Nic na świecie nie może mi pomóc! Co ma być, niech będzie, lecz muszę prosić o pomoc samego czarta. Więc jakże będzie, Paciuk? — spytał kowal widząc niewzruszoną minę Paciuka. — Co mam robić?

— Skoro komuś potrzebny jest czart, to niech idzie do czarta! — odrzekł Paciuk nie podnosząc oczu i w dalszym ciągu zmiatając hałuszki.

— Po tom właśnie przyszedł do ciebie — odrzekł kowal z niskim ukłonem: — Sądzę, że prócz ciebie nikt na świecie nie zna do niego drogi.

Paciuk ani słowa, tylko dojadł pozostałe hałuszki.

— Zmiłuj się, dobry człeku, nie odmawiaj! — molestował kowal. — Czy to wieprzowiny, czy kiełbasy, mąki gryczanej czy tam płótka, prosa czy jeszcze czego innego w razie potrzeby... jak to zwykle bywa między porządnymi ludźmi... nie poskapię, powiedz tylko, w jaki sposób, na ten przykład, znaleźć do niego drogę.

— Nie musi daleko chodzić, kto ma diabła na karku — powiedział obojętnie Paciuk nie zmieniając pozycji.

Wakula wytrzeszczył nań oczy, jakby tamten miał wypisane na czole znaczenie tych słów. „Co on mówi?” — milcząco zapytywała jego mina, półotwarte zaś usta gotowe były połknąć pierwsze słowo jak hałuszki. Ale Paciuk wciąż milczał. W tej chwili Wakula zauważył, że ani hałuszek, ani beczułki już przed nim nie było, zamiast tego na podłodze stały' dwie drewniane michy: jedna napełniona pierogami, a druga śmietaną. Myśli i oczy kowala mimo woli skierowały się na tę strawę. „Zobaczymy — rzekł do siebie — jak Paciuk będzie jadł pierogi. Zapewne nie zechce się nachylić, żeby ćpać jak hałuszki; zresztą, to się nie da zrobić; pierog trza pierwej umoczyć w śmietanie”. Zaledwie zdążył to pomyśleć, gdy Paciuk rozwarł usta, wpatrzył się w michę i jeszcze szerzej je rozworzył. W tym momencie pierog wyfrunął z miski, plusnął w śmietanę, obrócił się na drugą stronę, podskoczył w górę i akurat trafił w Paciukowe usta. Paciuk zjadł, znowu otworzył usta i następny pierog powędrował tą samą drogą. Paciuk pozostawił sobie tylko fatygę żucia i łykania. „Popatrz no, co za cuda się dzieją!” — pomyślał kowal, otworzył ze zdziwienia usta i natychmiast poczuł, że jemu także pierog palcuje się do gęby i już osmarował mu wargi śmietaną. Odrąciwszy pierog i otarłszy usta kowal zaczął rozmyślać nad tym, jakie to dziwne rzeczy bywają na świecie i do jakiej mądrości doprowadza człowieka nieczysta siła, przy czym zakonotował sobie, że, tylko Paciuk może mu pomóc. „Pokłonię mu się raz jeszcze, niech mi dokumentnie wyłoży... Ale, co u licha! Przecie dzisiaj postna wigilia, a ten je pierogi z tłuszczem i śmietaną! Cóż za dureń ze mnie, dalibóg! Toć grzech i na mnie spada! Jazda stąd!” — i pobożny kowal pędem wyleciał z chaty.

Diabeł jednak, siedzący w worku i zawczasu uradowany, nie mógł ścierpieć, żeby taka piękna zdobycz wymknęła mu się z rąk. Gdy tylko kowal położył worek, wyskoczył zeń i siadł mu na karku okrakiem.

Po skórze kowala przebiegły ciarki; blady i wystraszony nie wiedział, co robić; już miał się przeżegnać... Ale diabeł, pochyliwszy swój psi pysk do jego prawego ucha, powiedział:

— To ja, twój przyjaciel; gotów jestem wszystko uczynić dla towarzysza i przyjaciela! Pieniądzy dam, ile zechcesz — pisnął mu w lewe ucho. — Oksana dziś jeszcze będzie nasza — szepnęła zwracając znowu mordę do prawego ucha. Kowal stanął zamyślony.

— Zgoda — rzekł wreszcie — za taką cenę gotów jestem być twoim!

Diabeł plasnął w dłonie i z radości zaczął galopować na karku kowala. „Teraz mam cię w garści — myślał — teraz pomszczę na tobie wszystkie twoje malowidła i banialuki zmyślane o diabłach. Co też powiedzą moi towarzysze, gdy im powiem, że najpobożniejszy we wsi człowiek jest w moich rękach?” Tu diabeł aż zarechotał z radości, wyobraziwszy sobie, jak będzie kpić w piekle z całego

ogoniastego plemienia, jak wścieknie się Kulawy czart, którego uważano za najbardziej pomysłowego.

— No, Wakuło! — pisnął diabeł, wciąż nie złącząc z jego karku, jakby w obawie, żeby mu kowal nie uciekł: — Wiesz dobrze, że bez cyrografu nic się nie robi.

— Jestem gotów! — powiedział kowal. — Słyszałem, że u was cyrograf trza podpisywać krwią. Poczekaj ino chwilę, wydobędę z kieszeni gwóźdz! — Tu sięgnął ręką w tył i cap diabła za ogon.

— Ależ z ciebie żartowniś — krzyknął śmiejąc się diabeł. — Dość już, dość, przestań swawolić.

— Poczekaj no, serdeńko! — zawołał kowal — a to jak ci się podoba? — to mówiąc uczynił znak krzyża i diabeł zrobił się taki cichutki jak jagnię. — Poczekaj no — mówił dalej, ściągając go za ogon na ziemię — ja ci pokażę, jak kusić do grzechu dobrych ludzi i uczciwych chrześcijan. — W tym momencie kowal skoczył na diabła jak na konia i wznosił rękę, aby znowu uczynić znak krzyża.

— Zmiłuj się, Wakuło! — żałośnie jęknął diabeł. — Wszystko, co chcesz, uczynię, daj mi tylko odejść w spokoju: nie czyni nade mną straszego znaku!

— To tak teraz śpiewasz, Niemcze przeklęty? Teraz już wiem, co mam czynić. Wież mnie natychmiast na sobie! Słyszysz? Nieś jak ptak!

— Dokąd? — szepnął smutno diabeł.

— Do Petemburka, prosto do carycy! — i kowal zdrętwiał ze strachu, czując, jak wzlatuje w powietrze.

Oksana długo stała rozmyślając o dziwnych słowach kowala. Coś w jej duszy szeptało, że zbyt okrutnie z nim postąpiła. „A jeśli naprawdę zdecyduje się na coś straszego? Kto wie, może z rozpaczy zakocha się w innej i na złość zacznie tamtą nazywać najpiękniejszą dziewczyną we wsi? Ale nie, on mnie kocha. Jestem taka piękna! Nie zamieni mnie na inną: żartuje, udaje. Nie minie dziesięć minut, a na pewno przyjdzie na mnie popatrzeć. Może rzeczywiście jestem zbyt surowa... Trzeba, niby niechcący, dać mu się pocałować. Dopieroż się ucieszy!” — i lekkomyślna piękność dalej żartowała ze swoimi przyjaciółkami.

— Czekajcie no — powiedziała jedna z nich — kowal pozostawił tu swe worki, spójrzcie, jakie straszne wory! Ten nie tak jak my kołędował: myślę, że mu wrzucano całe ćwiartki baraniny, a kielbas i chlebów bez liku. To dopiero gratka! Można się będzie objadać przez całe święta.

— To są worki kowala? — pochwyciła Oksana. — Ciągnijmyż je co rychlej do mojej chaty i dobrze zobaczymy, co on tam nakładł. — Wszystkie ze śmiechem poparły tę propozycję.

— Ależ my ich nie podniesiemy! — zakrzyczała cała gromadka usiłując poruszyć worki.

— Poczekajcie — powiedziała Oksana — pędzany co rychlej po sanki i odwieziemy je na sankach!

I całą gromadą pobiegły po sanki.

Uwięzionym bardzo już obrzydło siedzenie w workach, chociaż diak zrobił w nim sobie palcem sporą dziurę. Gdyby nie było ludzi, to może znalazłby sposób, abysię wydostać; ale wyleźć z worka przy wszystkich, narazić się na śmieszność... To go wstrzymywało i postanowił czekać, z lekka tylko postępując pod nieuprzejmymi butami Czuba. Czub nie mniej od nie go pragnął wolności, czując, że pod nim leży coś takiego, na czym okropnie niewygodnie było siedzieć. Lecz skoro tylko usłyszał decyzję swojej córki, uspokoił się i już nie chciał wyleźć, rozumując, że do chaty trza byłoby przejść najmniej ze sto kroków, a może i drugie tyle. Wylazłszy zaś trzeba poprawić na sobie ubranie, zapiąć kozuch, podciągnąć pas — tyle zachodu! Zresztą i czapa została u Sołochy. Więc niech lepiej dziewczęta dowiozą go na sankach. Tymczasem zdarzyło się coś całkiem innego, niż przewidywał: gdy tylko dziewczęta pobiegły po sanki, chuderlawy kum wyszedł z szynku, zirytowany i nie w humorze. Szynkarka za nic nie zgadzała się dać mu na borg, chciał tedy ciekaw, aż przyjdzie jaki

nabożny szlachcic i poczęstuje go; aleć jak na złość wszyscy szlachcice siedzieli w domu i jak przystoi uczciwym chrześcijanom, spożywali kutię w gronie swych domowników. Rozmyślając o upadku moralności i o kamiennym sercu Żydówki sprzedającej gorzałkę, kum potknął się o worki i stanął zdumiony. — Patrzcie no, jakie wory ktoś porzucił na drodze! — powiedział oglądając się na wszystkie strony. — Musi tu być na pewno wieprzowina. Że też ktoś miał szczęście tyle nakoleďdować! Ależ straszne wory! Gdyby nawet były naładowane samymi gryczanymi plackami i to byłoby nieźle. Bodaj nawet tylko kołaczami i to ujdzie! Żydówka za każdy kołacz daje półkwaterek wódki. Trza je ściągnąć co rychlej, zanim ktoś zobaczy. — Wpakował na plecy worek z Czubem i diakiem, jednak poczuł, że zbyt jest ciężki. — Nie, samemu za ciężko będzie nieść — powiedział — ale oto na szczęście idzie tkacz Szapuwalenko. — Witaj, Ostapie!

— Jak się masz — odrzekł zatrzymując się tkacz.

— Dokąd idziesz?

— A tak sobie, gdzie nogi poniosą.

— Pomóźże mi, dobry człeku, zanieść worki! Ktoś nakoleďdował i rzucił pośrodku drogi.

Podzielimy się.

— Worki? A co w nich jest? Knysze czy kołacze?

— Myślę, że wszystkiego tu dość. — Naprędcie wyciągnęli z płotu dwa drągi, ułożyli na nich worek i ponieśli na ramionach.

— A dokąd go poniesiemy? Do szynku? — spytał po drodze tkacz.

— Ano, niby tak samo myślałem, że do szynku, ale przecie przekłeta Żydówka nie uwierzy, pomyśli, żeśmy gdzie ukradli, w dodatku właśnie z szynku wychodzę. Odniesiemy go do mojej chaty. Nikt nam nie przeszkodzi: żony nie ma w domu.

— Czy aby na pewno jej nie ma? — spytał ostrożny tkacz.

— Chwalić Boga, jeszcze nie zwariowałem — rzekł kum — diabli by mnie tam ponieśli, gdzie ona. Myślę, że przewałęsa się z babami do świtu.

— Kto tam? — krzyknęła żona kuma słysząc w sionce hałas spowodowany wejściem dwóch przyjaciół z workiem i otwierając drzwi.

Kum osłupiał.

— Masz ci los! — powiedział tkacz opuszczając ręce.

Żona kuma była tego rodzaju skarbem, jakich nie brak na bożym świecie. Tak samo jak jej mąż prawie nigdy nie siedziała w domu i prawie przez cały dzień latała po kominkach do kumoszek i zamożniejszych staruszek, chwaliła tam wszystko i jadła z wielkim apetytem, a ze swoim mężem biła się tylko rankami, ponieważ tylko o tej porze mogła się z nim niekiedy zobaczyć. Ich chata była dwa razy starsza od szarawarów pisarza gminnego: w dachu miejscami brakowało słomy. Z płotu pozostały tylko, resztki, ponieważ nikt we wsi wychodząc z domu nie brał kija na psy w nadziei, że mijając ogród kuma wyłamie pierwszy lepszy z jego płotu. Po dwa, trzy dni nie rozpalano w piecu. Co tylko czulej małżonce udało się wycygnąć od dobrych ludzi, chowała jak najstaranniej przed mężem, często zaś bezprawnie odbierała mu zdobycz, jeżeli nie zdążył jej przepić w szynku. Kum pomimo swej stałej flegmatyczności nie lubił jej ustępować: dlatego też prawie zawsze wychodził z domu z sińcem pod każdym okiem, a najdroższa połowica, pojękując, wlokła się opowiedzieć staruszkom o bezeceństwach swego męża i szturchańcach, którymi ją obdarzył.

Można sobie teraz wyobrazić, jak dalece tkacz i kum byli zaskoczeni takim niespodziewanym zjawiskiem. Położywszy wór zasłonili go sobą i nakryli połami. Ale już było za późno: żona kuma, chociaż źle widziała starymi oczami, jednak wór zauważyła.

— A to mięsie podoba! — powiedziała z miną, w której można było dostrzec radość jastrzębia.



— To dobrze, żeście ,tyle nakolędowali! Zawsze tak powinni robić porządni ludzie; myślę jednak, żeście raczej zwędzili.

Pokażcie no mi zaraz, słyszycie, pokażcie zaraz wasz worek!

— Łysy czart ci pokaże, a nie my! — powiedział przybierając bojową postawę kum.

— Co ci do tego? — powiedział tkacz. — Myśmy nakolędowali, a nie ty.

— Nic z tego, marny pijanico! — krzyknęła żona i palnąwszy wysokiego kuma pięścią w podbródek, dopadła worka. Ale tkacz i kum mężnie odparli atak i zmusili ją do odwrotu. Nie zdążyli wszakże przyjść do siebie, gdy małżonka kuma wbiegła do sieni, tym razem z pogrzebaczem. Żwawo trzepnęła męża pogrzebaczem po rękach, tkacza po plecach i już stała przy worku.

— Jakże mogliśmy na to pozwolić? — powiedział przytomniejąc tkacz.

— Nie myśmy pozwolili, lecz byś pozwolił — odparł flegmatycznie kum.

— Chyba żelazny ten wasz pogrzebacz! — rzekł po pewnej pauzie tkacz pocierając sobie plecy.

— Moja żona w zeszłym roku też kupiła na jarmarku, dała trzydzieści kopiejek, tamten to jeszcze ujdzie... nie boli...

W tym czasie tryumfująca małżonka kuma, postawiwszy na podłodze kaganek, rozwiązała wór i zajrzała do środka.

Aleć zapewne jej stare oczy, które tak dobrze wypatrzyły worek, tym razem zawiodły. — E-e, przecie tu leży cały wieprz! — krzyknęła klasnąwszy radośnie w dłonie.

— Wieprz? Słyszałeś, cały wieprz! — poszturchiwał tkacz kuma. — A wszystkiemu tyś winien!

— Cóż robić! — orzekł kum wzruszając ramionami.

— Jak to co? A czegoż my stoimy? Odbierzmy worek! No, zaczynaj!

— Pójdiesz precz! Pójdiesz! To nasz wieprz! — krzyczał występując naprzód tkacz.

— Wynoś się, wynoś, diabolicco! To nie twoje dobro! — mówił zbliżając się kum.

Małżonka kuma znowu chwyciła za pogrzebacz, ale Czub właśnie w tym czasie wylazł z worka i stanął pośrodku sieni przeciągając się jak człowiek, którego przed chwilą obudzono z głębokiego snu.

Żona kuma krzyknęła plasnawszy rękami o spódnicę i wszyscy mimo woli otworzyli usta.

— Cóż ta głupia mówi, że to wieprz! To wcale nie wieprz! — powiedział kum wybałuszając oczy.

— Widział to kto, żeby takiego człeka rzucono do worka! — dziwił się tkacz cofając z przerażeniem. — Gadaj sobie, co chcesz, bodaj pęknij, ale tu się nie obyło bez nieczystej siły. Przecież ten człowiek nie przelazłby nawet przez okno!

— Przecież to kum! — krzyknął przyjrząwszy się kum.

— A tyś myślał, że kto? — rzekł uśmiechając się Czub. — Ale wystrychnąłem was na dudka, co? A wyście zapewne chcieli mnie zjeść zamiast wieprzowiny? Ale poczekajcie, pocieszę was: w worku jeszcze coś leży, jeśli nie wieprz, to na pewno prosię albo jakaś inna żywina. Wciąż się coś pode mną ruszało.

Tkacz i kum rzucili się do worka, gospodyni domu porwała go z przeciwnej strony i bójka rozgorzała by na nowo, gdyby diak, doszedłszy do przekonania, że nigdzie się nie ukryje, sam się zeń nie wygramolił.

Kumowa osłupiała i wypuściła z ręki nogę, za którą już zaczęła wyciągać diaka z worka.

— Masz ci drugiego! — krzyknął z przestachem tkacz. — Diabli wiedzą, co się dzieje na świecie... W głowie się kręci... Już nie kiełbasy i nie placki, lecz ludzi wrzucają do worków!

— Przecie to diak! — wykrzyknął najbardziej ze wszystkich zdumiony Czub. — Ładna heca! Ależ ta Sołocha! Wsadzić do worka?... Toteż patrzę, że ma pełną chatę worków... Teraz już wszystko

wiem: w każdym worku miała po dwóch chłopów. A ja myślałem, że ona tylko dla mnie taka... Masz swoją Sołochę!

Dziewczęta nieco się zdziwiły nie znalazłszy jednego worka. — Nie na to nie poradzimy; starczy nam tego — szczebiotała Oksana. Wszystkie ujęły za worek i wrzuciły go na sanki. Sołtys postanowił milczeć, rozumując w ten sposób: jeśli krzyknie, żeby go wypuściły i rozwiązały worek, to głupie dziewczęta rozbiegną się, pomyślą, że w worku siedzi diabeł, i w ten sposób pozostanie na ulicy może nawet do jutra. Tymczasem dziewczęta, wzięwszy się za ręce, jak wichur pomknęły z sankami po skrzypiącym śniegu. Jedne dokazując-siadały na sanki, inne pakowały się na samego sołtysa. Sołtys wszystko znosił cierpliwie. Wreszcie dojechały, otworzyły na oścież drzwi w sionce i izbie i ze śmiechem wciągnęły worek. — Zobaczmy, co tu leży — krzyknęły chórem, rzucając się do rozwiązywania. W tej chwili czkawka, która przez cały czas siedzenia w worku męczyła sołtysa, tak się wzmogła, że zaczął czkać i kaszleć na całe gardło.

— Aj, przecie tu ktoś siedzi — pisnęły dziewczęta i w przerażeniu wypadły z chaty.

— Co u diabła, gdzie pędzicie jak oczadziałe? — powiedział Czub wchodząc w drzwi.

— Aj, tatku! — rzekła Oksana. — W worku ktoś siedzi!

— W worku? A skądęście wzięły ten worek?

— Kowal zostawił go na środku drogi — powiedziały wszystkie na raz.

„A nie mówiłem..” — pomyślał Czub. — Czegoście się nastraszyły? Zaraz zobaczymy: ano, człowiecze, proszę się nie gniewać, że nie nazywam po imieniu, wylaż po z worka!

Sołtys wylaż.

— Aj! — krzyknęły dziewczęta.

— I sołtys tam się znalazł — mówił do siebie Czub mierzając go zdumionym spojrzeniem od stóp do głowy. — To takie sprawy... Et! — I więcej nic już nie mógł powiedzieć.

Sołtys, sam nie mniej od niego zmieszany, nie wiedział, od czego zacząć. — Zapewne zimno na dworze? — spytał Czuba.

— Ano, jest mrózik — odpowiedział Czub. — A pozwól się zapytać: czym smarujesz buty, łojem czy dziegciem? — Bynajmniej nie to chciał opowiedzieć, chciał zapytać: jakieś, sołtysie, wlaż do tego worka? — ale zupełnie nie rozumiał, dlaczego mu się rzekło co innego.

— Dziegciem lepiej! — powiedział sołtys. — No, żegnaj, ”Czubie! — i nasunąwszy czapę wyszedł z chaty.

— Po co go ni stąd, ni zowąd spytałem, czym on smaruje buty? — powiedział Czub spoglądając na drzwi, którymi wyszedł sołtys. — Ależ ta Sołocha! Takiego człeka wsadzić do worka! Ależ diabelska baba! A ze mnie dureń... Gdzież ten przeklęty worek?

— Rzuciłam go w kąt, tam więcej nic już nie ma — powiedziała Oksana.

— Znam się na tych sztuczkach: nic nie ma! Dajcie no go tutaj, tam jeszcze jeden musi siedzieć! Wytrząchnijcie no dobrze... Co, nie ma?... Widzisz ją, piekielnice! A spojrzysz — całkiem święta. Jakby nigdy nic poza postnym żarciem nie brała do gęby.

Ale pozostawmy Czuba dającego upust swej złości i powróćmy do kowala, gdyż zapewne już jest godzina dziewiąta.

Z początku strach ogarnął Wakulę, gdy wzniósł się nad ziemię tak wysoko, że nic już w dole nie mógł dojrzeć, i jak mucha przeleciał tuż pod samym księżycem, tak że gdyby się trochę nie był pochylił, to zawadziłby o niego czapkę. Jednak po jakimś czasie nabrał duchami zaczął już żartować z diabła. Bawiło go niezmiernie; że diabeł kichał i kaszłał, ilekroć kowal zdejmował z szyi cyprysowy krzyżyk i przysuwał mu do pyska. Rozmyślnie podnosił rękę, żeby podrapać się w głowę, a diabeł obawiając się, że go przeżegna, leciał jeszcze szybciej. Na wysokościach panowała jasność.

Powietrze, przepojone lekką, srebrzystą mgiełką, było przezroczyste. Wszystko widać jak na dłoni: zauważył nawet, jak z wichrem przeleciał obok nich siedząc w garnku czarodziej; jak gwiazdy zebrawszy się w gromadkę bawiły się w ciuciubabkę; jak kłębił się gdzieś z boku, niby obłok, cały rój duchów; jak tańczący przy księżycu diabeł zdjął czapkę na widok galopującego kowala; jak leciała powracająca do domu miotła, na której zapewne przed chwilą jeździła w swoich sprawach wiedźma... Sporo jeszcze spotykali rozmaitego paskudztwa. Wszystko to na widok kowala zatrzymywało się na chwilę, by na niego spojrzeć, a potem dalej pędziło w swoim kierunku. Kowal wciąż leciał, &ż nagle błysnął przed nim ulewą światła Petersburg (z jakiegoś powodu była tam iluminacja). Diabeł przeleciawszy przez szlaban zamienił się w konia i kowal spostrzegł, że kłusuje środkiem ulicy na wspaniałym rumaku. Mój Boże! Stuk, grzmot, blask; z obydwu stron wznoszą się trzypiętrowe mury: klaskanie kopyt, turkot kół odzywały się echem i rozlegały z czterech stron; domy rosły, jakby unosiły się z ziemi, co krok; mosty dygotały; karety pędziły; stangreci, forysie krzyczeli; śnieg skrzypiał pod tysiącem sunących we wszystkie strony sani; piesi przeciskali się i tłoczyli przy domach obwieszonych latarkami, a olbrzymie ich cienie latały po murach dosięgając głową kominów i dachów. Ze zdumieniem spoglądał kowal na wszystkie strony. Zdawało mu się, że wszystkie domy utkwily w nim swe niezliczone ogniste oczy i patrzyły. Panów w pokrytych sukni futrach zobaczył tak wielu, że nie wiedział, przed kim ma zdejmować czapkę. „Boże, ileż tu państwa! — pomyślał kowal. — Pewnie każdy, kto przechodzi tu ulicą w futrze, to asesor, co najmniej asesor! A ci, co jadą w takich dziwnych bryczkach z szybkami, to jeśli nie horodniczowie, to na pewno komisarze, a może i jeszcze ktoś większy”. Pytanie diabła wyrwało go z zamyślenia: — Czy jechać wprost do carycy?

„Nie, boję się — pomyślał kowal. — Tu gdzieś, nie wiem tylko gdzie, zatrzymali się Zaporozcy, którzy jesienią przejeżdżali przez Dikańkę. Jechali z Siczy z, pismem do carycy: nieźle byłoby ich się poradzić”. — Hej, czorcie, włóż mi do kieszeni i prowadź do Zaporozców!

Diabeł w mgnieniu oka schudł i zrobił się taki malutki, że bez trudu włożył mu do kieszeni. A Wakuła nie zdążył się obejrzeć, gdy nie wiadomo kiedy znalazł się przed wielkim domem, wszedł — sam nie wiedząc jak — na schody, otworzył drzwi i cofnął się nieco w cień, zobaczywszy piękny, jasno oświetlony pokój; nabrał jednak otuchy poznawszy tych samych Zaporozców, którzy przejeżdżali przez Dikańkę. Siedzieli na jedwabnych otomanach podwinawszy pod siebie nogi w wysmarowanych dziegciem butach i palili najmocniejszy tytoń, zwany zwykle machorką.

— Witajcie, panowie, Panie Boże wam dopomóż! Oto, gdzieśmy się zobaczyli! — powiedział kowal podchodząc blisko i kłaniając się do ziemi.

— Co to za człowiek? — spytał Kozak, siedzący przed samym kowalem, drugiego, który siedział nieco dalej.

— Toście mnie nie poznali? — rzekł kowal. — Toć to ja, Wakuła, kowal. Kiedy jesienią przejeżdżaliście przez Dikańkę, byliście moimi gośćmi bez mała dwa dni, daj wam Boże wszelkiego zdrowia i długich lał.

I nowe okucie wtedy dałem na przednie koło waszej kibitki.

— A! — powiedział pierwszy Zaporozec. — To ten sam kowal, który tak pięknie maluje. Witaj, ziomku Po co cię Pan Bóg tu sprowadził?

— A tak sobie, chciało się zobaczyć, jak to powiadają...

— Cóż, ziomku — Zaporozec przybrał pozę pełną godności. Pragnąc zaś pokazać, że potrafi mówić nie tylko po małorusku, lecz i po rosyjsku, dodał — Wielkie miasto, co?

Kowal też nie chciał się skompromitować i wydać nowicjuszem; przy tym, jak zobaczymy poniżej, sam umiał wysłować się uczonym językiem. — Gubernia znakomita! — odrzekł obojętnie. — Nie ma co gadać, domy aż strach wielkie, wszędy wiszą ważne obrazy. Dużo domów pomalowanych

literami ze złotej farby, wprost niebywałe. Ani słowa, znakomita proporcja!

Zaporożcy, słysząc kowala tak swobodnie przemawiającego, wyprowadzili z tego bardzo korzystne dlań wnioski.

— Później z tobą dłużej pogadamy, ziomku, a teraz jedziemy natychmiast do carycy.

— Do carycy? A bądźcież łaskawi, panowie, weźcie mnie ze sobą.

— Ciebie? — rzekł Zaporożec takim tonem, jakim mówi opiekun do swego czteroletniego wychowanka, gdy ten prosi, aby go wsadził na prawdziwego, wielkiego konia. — Cóż ty będziesz tam robić? Nie, nie można. — Przy tym twarz jego przybrała ważną minę. — My, bracie, będziemy mówić z carycą o swoich sprawach.

— Weźcie mnie! — napierał się kowal. — Proś! — szepnął cicho do diabła, uderzając pięścią po kieszeni.

Nie zdążył tego powiedzieć, gdy drugi Zaporożec rzekł: — Weźmiemy go, bracia, niech tam!

— A niech tam, weźmiemy — powiedzieli inni.

— Wdziwaj więc taki sam strój jak my.

Kowal rzucił się, by wciągnąć na siebie zielony żupan, wtem drzwi się otworzyły i wszedł człowiek w galonach, mówiąc, że pora jechać.

Znów wszystko zdumiewało kowala, gdy pędził w olbrzymiej karocy kołysząc się na resorach; z obydwu stron pobiegły w tył trzypiętrowe domy, a jezdnia z grzmotem zdawała się sama toczyć koniom pod nogi.

„Boże mój, ile światła! — myślał kowal. — U nas w dzień nie bywa tak jasno”.

Karety zatrzymały się przed pałacem. Zaporożcy wysiedli, wkroczyli do wspaniałego przedsionka i poczęli wchodzić po jasno oświetlonych schodach, — Cóż za schody! — szeptał do siebie kowal — aż szkoda deptać nogami. Cóż za upiększenia! Powiadają ludzie, że bajki kłamią! Diabła tam kłamią! Mój Boże, cóż za poręcze! Co za robota! Przecie tu samego żelaza poszło za dobre pięćdziesiąt rubli.

Minawszy schody, Zaporożcy przeszli przez pierwszą salę. Kowal szedł za nimi nieśmiało, przy każdym kroku bojąc się pośliznąć na posadzce. Minęli trzy sale. Kowal wciąż nie przestawał się dziwić. Gdy weszli do czwartej, mimo woli podszedł do wiszącego na ścianie obrazu. To była Matka Boska z dzieciątkiem na ręku. „Cóż za obraz, cóż za cudne malowidło! — myślał. — Zdaje się, że w tej chwili przemówi, jak żywa! A Boskie Dzieciątko! I rączki przycisnęło, i uśmiecha się, biedactwo! A farby! Mój Boże, cóż za farby! Tu chyba ochry za jedną kopiejkę nie poszło, wciąż tylko sam grynszpan i karmin. A niebieska jak płonie! Dobra robota, na pewno grunt był robiony blejwasem. Ale chociaż bardzo zadziwiające są te malowidła, ta miedziana klamka — myślał dalej, podchodząc do drzwi i obmacując zamek — jeszcze bardziej jest godna podziwienia. Jakie wykończenie! To pewnie niemieccy kowale za drogie pieniądze robili...” Być może, długo jeszcze rozmyślałby kowal, gdyby wygalowany lokaj nie szturchnął go w łokieć i nie upomniał, aby nie pozostawał w tyle za innymi. Zaporożcy minęli jeszcze dwie sale i stanęli. Tu im kazano czekać. W sali zebrało się kilku generałów w haftowanych złotem mundurach. Zaporożcy pokłonili się na wszystkie strony i stanęli kupą. Po chwili w otoczeniu całej świty wszedł imponującego wzrostu, dość tęgi człowiek w hetmańskim mundurze i żółtych butach. Włosy miał nastroszone, jedno oko trochę zezowało, na twarzy rozlała się jakaś wyniosła majestatyczność, każdy ruch świadczył o nawyku do rozkazywania. Wszyscy generałowie w złotych mundurach, spacerujący dotąd z dość hardą miną, zadreptali dokoła niego i z niskimi ukłonami zdawali się chwytać w lot każde jego słowo, każdy najmniejszy ruch, aby natychmiast pędzić i wykonać polecenie. Ale hetman nie zwrócił na nich uwagi, zaledwie kiwnął im głową i podszedł do Zaporożców.

Zaporożcy skłonić mu się w pas.

— Czy wszyscy tu jesteście? — spytał przeciągając i wymawiając słowa nieco przez nos.

— *Ta wsi, bat'ko* — odrzekli Zaporożcy, znowu się kłaniając.

— Nie zapomnicie mówić tak, jak was nauczyłem?

— Nie, bat'ko, nie zapomnimy.

— Czy to car? — spytał kowal jednego z Zaporożców.

— Gdzie tam car! To sam Potiomkin — odrzekł tamten.

W drugim pokoju rozległy się głosy i kowal nie wiedział, gdzie ma podziać oczy, przestraszony mnóstwem wchodzących dam w atłasowych sukniach z długimi trenami i dworzan w haftowanych złotem kaftanach i z chwastami z tyłu. Widział jeno blask i mc więcej. Zaporożcy wszyscy nagłe padli na ziemię i krzyknęli jednym głosem: — Zmiłuj się, matuchno, zmiłuj! — Kowal nie patrząc na nic runął również jak długi na podłogę.

— Wstańcie! — zabrzmiał nad nimi rozkazujący, a jednocześnie przyjemny głos. Niektórzy z dworzan zakrzętnęli się i tręcali Zaporożców.

— Nie wstaniem, matuchno, nie wstaniem! Pomrzemy, ale nie wstaniemy! — krzyczeli Zaporożcy.

Potiomkin gryzł sobie wargi. Wreszcie podszedł sam i rozkazująco szepnął coś jednemu z Zaporożców. Zaporożcy podnieśli się.

Wtedy dopiero i kowal ośmielił się unieść głowę i zobaczył przed sobą niewielkiego wzrostu kobietę o nieco zbyt obfitych kształtach, upudrowaną, z niebieskimi oczami, a jednocześnie z tym majestatycznym uśmiechem, który tak potrafił zniewalać wszystkich i mógł należeć jedynie do władczyni.

— Jaśnie oświecony książę obiecał zapoznać mnie dziś z moim ludem, którego dotąd jeszcze nie widziałam — mówiła dama o niebieskich oczach, oglądając z ciekawością Zaporożców. — Czy dobre tu macie utrzymanie? — ciągnęła podchodząc bliżej.

— *Ta spasybi, mamó!* Prowiant dają dobry — chociaż tutejsze barany całkiem nie takie jak u nas na Zaporozżu — więc dlaczegoż nie mielibyśmy jako tako żyć?

Potiomkin skrzywił się widząc, że Zaporożcy mówią zupełnie nie tak, jak ich uczył...

Jeden z Zaporożców wyprostowawszy się wystąpił naprzód.

— Zmiłuj się, mateczko, za cóż gubisz twój wierny lud? Czymże cię zagniewaliśmy? Czyśmy trzymali stronę pohańca-Tatarzyna; czyśmy spiskowali z Turczyńcem; czyśmy zdradzili cię czynem lub pomyślunkiem? Za cóż twa niełaska? Naprzód słyszeliśmy, że wszędy każesz budować fortece przeciwko nam; później słyszeliśmy, że chcesz z nas zrobić strzelców; teraz słyszemy o nowej niełasce. Cóż ci zawiniło zaporoskie wojsko? Czy tym, że przeprowadziło twoją armię przez Perekop i dopomogło twym generałom porąbać krymskich Tatarów?

Potiomkin milczał i niedbale czyścił niewielką szczoteczką brylanty na swych upierścienionych palcach.

— Czegóż więc chcecie? — troskliwie spytała Katarzyna.

Zaporożcy znacząco spojrzeli na siebie.

— Teraz pora! Caryca pyta, czego chcemy! — rzekł sobie kowal i nagle runął na podłogę.

— Wasza cesarska mość, racz oddalić swój gniew, okaż łaskę! Z czego, bez obrazy waszej cesarskiej mości, zrobione są trzewiki, co je macie na nogach? Myślę, że żaden szewc w żadnym państwie na świecie nie potrafiłby takich zrobić. Mój Boże, gdybyż to moja *zińka* mogła włożyć takie trzewiki!

Caryca roześmiała się, dworzanie także się roześmieli. Potiomkin i chmurzył się, i uśmiechał

jednocześnie. Zaporozcy zaczęli poszturchiwać kowala myśląc, że postradał zmysły.

— Wstań — powiedziała łagodnie caryca — jeśli tak bardzo pragniesz mieć takie trzewiki, to wcale nie trudno to zrobić. Przynieście mu natychmiast trzewiki najdroższe, haftowane złotem! Doprawdy, bardzo mi się podoba taka prostoduszność. Masz pan temat — ciągnęła caryca spojrzawszy na stojącego nieco na uboczu człowieka o pełnej, lecz nieco bladej twarzy, którego skromny kaftan z wielkimi guzami z masy perłowej wskazywał, że nie należał do dworzan — godny pańskiego ciętego pióra.

— Wasza cesarska mość jest zbyt łaskawa. Tu byłby potrzebny co najmniej La Fontaine! — odrzekł kłaniając się człowiek z guzami z masy perłowej.

— Szczerze panu powiem: dotąd jestem zachwycona pańskim „Brygadierem”. Pan nadzwyczajnie to czyta! Jednakże — mówiła dalej caryca., znowu zwracając się do Zaporozców — słyszałam, że u was na Siczy nigdy się nie żenią?

— Jakże, mamó! Przecie sama wiesz, że ozłękowi bez *zinki* żyć nijako — odpowiedział ten sam Zaporozec, który rozmawiał z kowalem, i kowal zdziwił się słysząc, że Zaporozec, znając tak dobrze uczony język, mówi jakby naumyślnie z carycą takim prostym narzeczem, pospolicie nazywanym chłopskim. „Chytre bestie! — pomyślał — na pewno umyślnie to robią”.

— Myśmy nie czerńce — ciągnął Zaporozec — lecz ludzie grzeszni. Łasi, jak i całe uczciwe chrześcijaństwo, na to, co dobre. Wielu jest wśród nas takich, którzy mają żony, lecz nie mieszkają z nimi na Siczy. Są , tacy, co mają żony w Polsce, są tacy, co mają żony na Ukrainie; są też tacy, co mają żony w Turecczyźnie.

W tym czasie kowalowi przynieśli trzewiki. — Mój ty Boże, cóż to za śliczności! — wykrzyknął radośnie, schwyciwszy je w ręce. — Wasza cesarska mość! Skoro tak wyglądają trzewiki, a w nich pewnikiem wasza wielmożność chadza i na lód się ślizgać — to, jakże muszą wyglądać same nóżki? Myślę, że są co najmniej z samego cukru!

Caryca, która rzeczywiście miała bardzo zgrabne i śliczne nóżki, nie mogła powstrzymać uśmiechu słysząc taki komplement z ust prostodusznego kowala, który w swym zaporoskim stroju mógł pomimo smagłej twarzy śmiało uchodzić za urodziwego mężczyznę.

Ucieszony taką łaskawością, kowal chciał już dokładnie wypytać carycę o wszystko: czy to prawda, że carowie jadają wyłącznie miód i słoninę, i tym podobne rzeczy — ale poczuwszy, że Zaporozcy szturchają go w boki, postanowił zamilknąć; gdy zaś imperatorowa zwróciła się do starców i zaczęła wypytywać, jak żyją u nich na Siczy, jakie mają obyczaje — odszedł w tył, pochylił się ku swej kieszeni i rzekł cicho: — Wynoś mnie stąd co rychlej! — po czym nagle znalazł się za szlabanem.

— Utonął! Dalibóg utonął! Żebym się z tego miejsca nie ruszyła, jeśli nie utonął! — trajkotała gruba tkaczycha stojąc w gromadzie dikańskich bab pośrodku ulicy.

— A czym to ja pleciuga jaka? Czy to ja komukolwiek krowę ukradłam? Czy rzuciłam na kogo urok, że mi nie dają wiary? — krzyczała druga baba w kozackiej świtce, z fioletowym nosem, wymachując rękami: — Bodajbym nigdy nie zapragnęła wody, jeśli stara Pereperczycha na własne oczy nie widziała, jak kowal się powiesił.

— Kowal się powiesił? Masz ci los! — rzekł sołtys wychodzący od Czuba. Zatrzymał się i przepchał bliżej do rozmawiających.

— Powiedz lepiej, bodajbyś nigdy wódki nie zapragnęła, ty stara pijaczko! — odrzekła tkaczycha. — Trzeba być taką przygłupią jak ty, żeby się obwiesić! Kowal utonął w przerębli! Wiem to tak samo dobrze, jak to, żeś dopiero co wyszła z szynku.

— Widzisz ją, paskudnicę, co mi wypomina! — nasrożyła się baba z fioletowym nosem. —

Milczałabyś, bezwstydnico, alboż to nie wiem, że do ciebie Siak chodzi co wieczór?

Tkaczycha spłonęła rumieńcem.— Jaki diak? Do kogo diak? Co ty łżesz?

— Diak? — zaśpiewała przeciskając się do kłócących się bab diaczycha w futrze na zajęczach, krytym niebieską kitajką. — Ja ci dam diaka! Kto to mówił o diaku?

— A oto, do kogo diak chadza! — powiedziała baba z fioletowym nosem wskazując na tkaczychę.

— Ach, to ty, suko — powiedziała diaczycha podchodząc blisko do tkaczychy — to ty, wiedźmo, mącisz mu w głowie i poisz nieczystym zielskiem, żeby do ciebie chadzał?

— Odczep się ode mnie, diablico! — krzyczała cofając się tkaczycha.

— Widzisz ją, przekłętą czarownicę! Bodajbyś własnych dzieci nie doczekała, paskudnico, tfu!... — i w tym momencie diaczycha plunęła prosto w oczy tkaczychy.

Tkaczycha chciała uczynić to samo, lecz niechący plunęła na nieogoloną brodę sołtysa, który, aby lepiej usłyszeć, przedostał się tuż do skłóconych bab.

— A paskudna babo! — krzyknął sołtys ocierając twarz połą i wznosząc bat. Ruch ten zmusił wszystkie do rozpięzchnięcia się w różne strony z głośnym wymyślaniem. — Cóż za świństwo! — powtarzał, wciąż się obcierając. — Więc kowal utonął? Mój Boże, a jakież z niego był wielki malarz, jakie mocne noże, sierpy, pługi potrafił wykuć, co za siłę miał! Ta-ak... — ciągnął w zamyśleniu — takich ludzi mało u nas we wsi.

Toteż kiedy jeszcze siedziałem w tym przeklętym worku, zauważyłem, że biedaczysko mocno był zafrasowany. Oto i po kowalu! Był, a teraz go nie ma! A ja właśnie miałem zamiar podkuć swoją srokatą kobyle!... — i pełen takich chrześcijańskich myśli sołtys powoli powędrował do swej chaty.

Oksana stropiła się, kiedy do niej doszły te wieści. Mało wierzyła oczom Pereperczychy i gadaninie bab: wiedziała, że kowal jest zbyt nabożny, aby chciał własną duszę gubić. Ale co będzie, jeśli naprawdę odszedł z zamiarem, by nigdy nie wrócić? A nie wiadomo, czy w której wsi znajdzie się drugi taki zuch jak kowal? Przecie tak ją kochał! Dłużej od innych znosił jej kaprysy! Piękne dziewczę przez całą noc przewracało się pod kołdrą z prawego boku na lewy, z lewego na prawy i nie mogło zasnąć. To odrzucając kołdrę i obnażając swe czarujące kształty, które mrok nocy ukrywał nawet przed nią samą, nieomal na głos sama siebie karciała; to ucichnąwszy postanawiała o niczym nie myśleć — i wciąż myślała. I cała płonęła; a nad ranem po uszy zakochała się w kowalu.

Czub nie ujawnił ani radości, ani smutku z powodu losu Wakuły. Myśli jego jednym tylko były zajęte: w żaden sposób nie mógł zapomnieć o wiarołomstwie Sołochy i nawet przez sen nie przestawał jej wymyślać.

Wstał ranek. Cała cerkiew jeszcze przed świtem zapełniła się ludem. Starsze kobiety w białych namitkach z cienkiego płótna na głowie, w białych sukiennych świtkach, nabożnie żegnały się przy wejściu do cerkwi. Kozaczki w zielonych i żółtych kaftanach, a niektóre nawet w niebieskich kontuszach ze złotymi chwastami z tyłu, wysforowały się przed nie. Dziewczęta, które miały na głowach całe sklepy wstążek, a na szyi sznury paciorków, krzyży i dukatów, starały się przedostać jeszcze bliżej, pod sam ołtarz. Ale przed wszystkimi stali Kozacy i zwyczajni chłopci, z wąsami, z czubami, z grubymi karkami i świeżo wygolonymi podbródkami, przeważnie w sukiennych burkach, spod których wyzierały białe, a u innych niebieskie świtki. Gdzie tylko spojrzysz, na wszystkich twarzach widać święto: sołtys oblizywał się wyobrażając sobie, jak po długim poście będzie jadł kiełbasy; dziewczęta myślały o tym, jak się będą ślizgały z chłopcami po lodzie; staruchy żarliwiej niż kiedykolwiek szeptały modlitwy. W całej cerkwi było słyhać, jak Kozak Swerbyguz bił pokłony. Jedna tylko Oksana czuła się nieswojo... Modliła się i nie modliła. W jej sercu stłoczyło się tyle różnych uczuć, jedno od drugiego przykrzejsze, jedno od drugiego smutniejsze, że twarz jej wyrażała

tylko wielki niepokój; łzy drżały jej na rzęsach. Dziewczęta nie mogły zrozumieć przyczyny tego smutku i nie podejrzewały, że to z powodu kowala. Jednak nie tylko Oksana była zajęta myślą o kowalu. Wszyscy parafianie zauważyli, że święto bez niego — to jakby nie święto; że jakby czegoś brakowało. Jak na nieszczęście diak po podróży w worku zachryplł i beczał ledwo dosłyszalnym głosem; co prawda, przyjezdny chórzysta pięknie brał niskie nuty, lecz o ileż byłoby lepiej, gdyby nie brakło kowala, który zawsze, jak tylko zaśpiewali Ojczenasz, wchodził na chór i ciągnął stamtąd na tę samą nutę, na jaką śpiewają w Połtawie. A przy tym tylko on jeden pełnił funkcję cerkiewnego kwestarza. Skończyła się jutrznia, po jutrzni msza... Gdzież u licha naprawdę podział się kowal?

Jeszcze szybciej u schyłku nocy pędził z powrotem diabeł z kowalem na karku. W mgnieniu oka znalazł się Wakuła koło swej chaty. W tej chwili zapiał ko gut.

— Dokąd? — krzyknął Wakuła chwytając za ogon wsiłującego uciec diabła. — Zaczekaj no, przyjacielu, to jeszcze nie wszystko: jeszcze ci nie podziękowałem.— Tu, porwawszy pręt, zdzielił diabła trzy razy po grzbiecie, a biedny czart wziął nogi za pas, jak chłop, któremu przed chwilą dał baty asesor. Tak oto, miast oszukać, skusić i uwieść innych, wróg rodzaju Judzkiego sama został wystrychnięty na dudka. Po tym wszystkim Wakuła wszedł do sieni, zarył się w siano i przespał do obiadu. Obudził się przerażony, gdyż zobaczył, że słońce już wysoko: „Przespałem jutrznię i mszę!” Nabożny kowal pograżył się w rozpacz, sądząc, że Pan Bóg umyślnie, aby go ukarać za grzeszny zamiar zaprzędania duszy, zesłał na niego sen, który nie pozwolił mu być w cerkwi w takie uroczyste święto. W końcu uspokoiwszy się postanowieniem, że w następnym tygodniu wypowiada się z tego przed popem i od dnia dzisiejszego zacznie bić po pięćdziesiąt pokłonów przez cały rok, zajrzał do chaty, ale nikogo w niej nie było. Widocznie Sołocha jeszcze nie powróciła. Ostrożnie wyjął z zanadru trzewiczki i znowu zadziwiło go zarówno ich kosztowne wykonanie, jak i cudowne wypadki minionej nocy; umył się, przyodział jak mógł najlepiej, włożył ten sam strój, który dostał od Zaporozców, wyjął z kufra nową czapkę z reszetyłowskich baranków, z niebieskim denkiem, której ani razu jeszcze nie miał na głowie od czasu, jak ją kupił podczas bytności w Połtawie; wyjął również nowy różnobarwny pas, owinął to wszystko wraz z nahajem w chustkę i ruszył prosto do Czuba.

Czub wybałuszył oczy na widok wchodzącego kowala i nie wiedział, czemu bardziej ma się dziwować: czy temu, że kowal zmartwychwstał, czy temu, że kowal śmiał do niego przyjść, czy też temu, że się tak wystroił na Zaporozca. Lecz jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy Wakuła rozwiązał chustkę i położył przed nim nowiutką czapkę i pas, jakiego nie widywano we wsi, sam zaś runął mu do nóg i rzekł błagalnym głosem: — Wybacz mi, *bat'ko!* Nie gniewaj się! Masz tu nahajkę: bij, ile dusza zapragnie, poddaję ci się; wszystkiego, com uczynił, żałuję; bij, abys się tylko nie gniewał! Przecież kiedyś bratałeś się z moim nieboszczykiem oj ceni, razem jedliście chleb, sól i gorzałę pili.

Czub nie bez wewnętrznego zadowolenia patrzył, jak kowal, któremu nikt we wsi nie śmiał w kaszę dmuchać, który giął w ręku piątki i podkowy jak gryczane bliny, leżał teraz u jego nóg. Żeby jeszcze bardziej nadać sobie dostojęństwa, Czub wziął nahajkę i uderzył go trzy razy po plecach: — No, masz już dość, wstawaj! A starych ludzi zawsze słuchaj! Zapomnimy o wszystkim, co było między nami! Teraz gadaj, czego chcesz?

— Wydaj za mnie, *bat'ko*, Oksanę!

Czub chwilę pomyślał, spojrział na czapkę i pas; czapka była piękna i pas wcale jej nie ustępował; przypomniał sobie wiarołomną Sołochę i rzekł zdecydowanie: — Zgoda! Przysyłaj swatów!

— Aj! — krzyknęła Oksana przestąpiwszy przez próg i utkwiała w kowalu zdumione i radosne spojrzenie.



— Spójrz ino, jakie trzewiczki ci przyniosłem — powiedział Wakuła. — To są te same, które nosi caryca.

— Nie, nie, nie chcę żadnych trzewików! — mówiła machając rękami i nie spuszczać z niego oczu. — Ja i bez trzewików... — ale już nie skończyła i spłonęła rumieńcem.

Kowal podszedł bliżej, wziął ją za rękę; krasnolica spuściła oczy. Nigdy nie była tak cudnie piękna! Zachwycony kowal łagodnie pocałował ją, a twarz jej jeszcze bardziej się zapłonila i stała się jeszcze piękniejsza.

Przejeżdżając przez Dikańkę, świętej pamięci archijerej chwalił miejsce, gdzie leży wieś, jadąc zaś ulicą zatrzymał się przed nową chatą.

— A czyjaż to taka wymalowana chata? — spytał jego eminencja stojącą przy drzwiach piękną kobietę z dzieckiem na ręku.

— Kowala Wakuły! — powiedziała kłaniając się Oksana, gdyż ona to była.

— Piękna, piękna robota! — rzekł jego eminencja oglądając drzwi i okna. A wszystkie okna były obwiedzione naokoło czerwoną farbą; na drzwiach zaś galopowali Kozacy na koniach, z fajkami w zębach. Lecz jeszcze bardziej jego eminencja pochwalił Wakułę, gdy się dowiedział, że wykopując cerkiewną pokutę pomalował darmo całą lewą stronę chóru w czerwone kwiaty na zielonym tle. Ale i to jeszcze nie wszystko: z boku, na ścianie, tuż przy wejściu do cerkwi, Wakuła namalował tak obrzydliwego diabła w piekle, że wszyscy przechodząc obok, spluwali, a baby, gdy tylko dzieciak zaczynał im płakać na rękę, podnosiły go do góry i wskazując na obraz mówiły:

— Zobacz, jakie tu be namalowane! — dziecię zaś powstrzymując łezki spoglądało spod oka na obraz i tuliło się do matczynej piersi.

Przygotowano na podstawie bookini.pl